

CENA 50 GR.

ROK II. NR. 26 (39)

WARSZAWA

SOBOTA

30-VI-1934 R.

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

MARJAN
PIECHAL

ANIOŁ I JAKÓB

czyli drugi dialog o Adamie Skwarczyńskim*)

Jakób: Przychodzisz znowu?
Anioł: Przychodzę. Jakżeby nie miał przyjść, przecież jestem niejako twoim demonem.
Jakób: Ty nim dla mnie, a ja dla ciebie. Trwożysz się, że jednak przyszłość może być moja?
Anioł: Chodzi mi nie o odwrócenie przyszłości od twoich myśli, ale o zwrócenie twoich myśli ku tej naszej wspólnej przeszłości. Z tego, że przyszłość może być twoja, nic jeszcze nie wynika. I nie zawsze zwycięstwo pieczętuje słusność. Losem aniołów jest twoga o ziemię, która jest przyrodzonym udziałem niezliczonej ilości jakubów, rodzących się jak trawa i jak trawa przemijających. Ale historia na ziemi, historia tych jakubów, jak dotąd, jest udziałem nielicznych. Takich może jak ty... takich jak ja... Masz słusność. Trwożę się o los dalszy idei, wprowadzonych w życie...
Jakób: W czyn, gdyż w życiu in abstracto były już dawno.
Anioł: Masz rację. A więc obawiam się o los dalszy idei, wprowadzonych w czyn czyli w życie, jakbyś powiedział, in concreto przez moje pokolenie, a przez twoje — twoje ma je kontynuować.
Jakób: I modyfikować?
Anioł: Nie — kontynuować! Ale to nie znaczy bezdusznie powtarzać.
Jakób: Boisz się z jednej strony absolutnej samodzielności, a z drugiej mechanicznego naśladownictwa?
Anioł: Boję się.
Jakób: Aniele, już nie jesteś aniołem. Ta twoga twoja świadczy, że uzależniony ode mnie, od mojego jednak ostatecznie laudunku witalnego, a nie od siły poza mną i także poza tobą.
Anioł: Jakóbie, już nie jesteś Jakóbem. Mówiłeś, że nie chodzę po ziemi, że nie mam nóg, że jestem aniołem. A teraz? Przeczysz samemu sobie. Jakże zatem mam się zgodzić wtedy, gdy przeczysz mnie?
Jakób: Errare humanum est. Przez to właśnie jestem Jakóbem, że się potykam A to koleś świadczy, że chodzę po ziemi, bo nad chmurami trudno się potykać, trudno błądzić...
Anioł: Widzisz, na bezkresnych głębiach historii tak jak na oceanie, aby nie zbłądzić, trzeba patrzeć nad chmury, w stałą gwiazdę wielkiej idei.
Jakób: Znowu to samo. Jakgdybym ja jej nie miał. Chodzi o to, byś mnie przekonał, że twoja gwiazda jest stała, a moja ruchoma. Bo ja sądzę, że jest naodwrot.
Anioł: Stałość lub niestałość gwiazd sprawdza się ich przydatnością i praktycznością w żegludze. Sam wypróbuj, która z tych gwiazd, twoja czy moja, jest stała.
Jakób: Nie chcę takich porównań, wybac, nie znoszę takich rozmówek. Chcesz, widzę pod przykrywką tych rozmówek traktować ze mną nie o sposobie przekonania mnie, lecz o sposobie bezpośredniego zrealizowania idei, do której mnie jeszcze nie przekonałeś. Wiesz, że jestem spragniony czynu, a więc mówiąc o realizowaniu idei, a nie o niej samej, chcesz mnie przez to zapalić do czynu. Nie, nie dam się złapać.
Anioł: O, nie chcę cię sztucznie złapać.

Jestem tylko zgodny ze sobą, to jest z zasadą: p r a w d a j e d y n a — w c z y n i e l u d z k i m .
Jakób: Czy jednak twój ciągły powrót do tej tak pięknie brzmiącej zasady, czy ta chęć ciągłego djalogizowania o niej nie jest czasem wyrazem twojej wątpliwości w nią, rozszczępienia wewnętrznego z powodu niej, chwiejności jej samej w tobie? DIALOG bowiem w znaczeniu istotnym czy to w dramacie, czy w powieści, tak samo jak w życiu, jest przecie zawsze wyrazem starcia się w człowieku dwóch prawd o jednakowych potencjalach siły — dlatego jest tak frapujący.
Anioł: Owszem, ale to samo musisz powiedzieć o sobie.
Jakób: To też ja nie mówię o stałości mojej gwiazdy. A i twoja, widzę, niebardzo jest stała, skoro przyznajesz się do wątpliwości.
Anioł: Zapominasz o chmurach i o zachmurzeniach. To ty właśnie i tobie podobni zaciemniają przejrzystą atmosferę gwiazd. Różnica polega na tym, że wątpliwości moje powstają nie przy zasadzie samej, o tem niema mowy, lecz dopiero przy jej stosowaniu i to jedynie tylko przez wzgląd na jej jaknajowocniejszą skuteczność, a wątpliwości twoje dotyczą właśnie samej zasady. Choroba twoja źre cię od podstawy, toczy od samego rdzenia, tkwi w korzeniu twojej zasady...
Jakób: A u ciebie w jej owocach. Mógłbym wejść na twoje podwórko i użyć papierowego argumentu z przypowieści ewangelicznych: „po owocach ich poznacie je”. Ale skończmy już z tem psychologizowaniem i wierceniem dziur we własnych wnętrzach. To sondowanie do niczego nie doprowadza. Prawdy nasze leżą nie w naszych wnętrzach, ale na zewnątrz, w konkretnych prawdach ludzkiej zbiorowości i prawdach historii. Tylko jakieś promienie zewnątrz na podobieństwo roentgenowskich mogą rozświetlić nasze wnętrza, promienie, które powstają ze starcia się naszych indywidualnych jaźni z zagadnieniami i zjawiskami natury społecznej.
Anioł: Połowa tylko racji w tem, co mówisz. Jeśli to uważasz za całą rację, jesteś przyziemnym.
Jakób: Tak, jestem jednym z wielu tysięcy wyrastających z ziemi i tylko dla ziemi jakubów, których ty organizujesz w państwo, będące dla ciebie najwyższą ideą i zadaniem życia. Stając na twoim stanowisku, oni są dla państwa, a stając na ich stanowisku, państwo jest dla nich. Chcę wyśrodkować pytanie istotne: komu względnie czemu ma to państwo służyć, gdyż jak dotąd myśl twoja nie sięgała poza zagadnienie państwa, jako siły? Chodzi o zagadnienie państwa, jako celu?
Anioł: Kto najpiękniejszy wiek swego życia i idealnego porywu młodości poświęcił sprawie wcielenia tej idei ze sfery książek i tradycji w sferę konkretnej rzeczywistości, dla tego cel tkwi niejako irracjonalnie w samej pracy wcielania, w trudzie realizacji. Ten cel jako „prawda jedyna — w czynie ludzkim”.
Jakób: Zasadniczo znów rzecz całą sprowadzasz do wiary. Zrozum, że nie mogę uwierzyć w ten twój czyn czyli cel tak jak

ty, bo u ciebie wiara twoja wypływa z uprzedniego czynu, którego zasługi ja jestem z powodów niezależnych ode mnie pozbawiony.
Anioł: Wiara wypływa z czynu, a czyn z wiary. Gdybyś uwierzył, wiara twoja byłaby czynem. Cała niemoc twoja w zakresie działania, cały ten twój hamletyzm, cały bezczyn płynięc z niewiary zarówno w mój czyn dotyczący państwa, jak i w twój własny dotyczący owych jakubów. Gdybyś wierzył w swój własny czyn dotyczący jakubów nie stałbyś teraz twarz w twarz przede mną i nie hamletyzował, ale stałbyś jako jeden z jakubów twarz w twarz z moją ideą państwa.
Jakób: Masz dziwną słabość zbaczania z torów zagadnień ogólnych na osobiste. Więcej cię interesuje moja psychika i jej stosunek do spraw ogólnych, niż te sprawy ogólne i ich stosunek do mnie jako jednego z wielu tych jakubów, którzy te sprawy tworzą.
Anioł: Interesuje mnie przede wszystkim twoja psychika, jej choroby i jej zdrowie, słowem twoje wnętrze i to, jak się te sprawy ogólne w tem wnętrzu załamują, aby z tego wynioskować o prawdzie twego stosunku i jego dalszych możliwości do tych spraw ogólnych. Wychodzę bowiem z założenia, że wszelkie sprawy ogólne wychodzą z wnętrza pojedynczego człowieka, rodzą się w psychice jednostkowej. Na tobie jak na żywym okazie eksperymentuję, abym wiedział, komu zostawiam dziedzictwo mojego czynu i mojej wiary, aby przewidzieć losy tego dziedzictwa, aby je uchronić przed ewentualnościami zatraty i roztrwonienia potencjału krwi i trudu, włożonego weń przez moje pokolenie.
Jakób: Chcecie nas uczynić ludźmi małymi: nic bez was! Chcecie w nas widzieć fanatyków, a nie współtwórców, Gniewa cię mój hamletyzm. Czy aby nie jesteś w tem sprzeczny z sobą? Chodzi ci przecież o moje wnętrza przedewszystkiem, posłuchaj zatem, co mówi słynny psycholog Ernest Kretschmer: „Jak para rodzi się z wody i ognia, tak najpotężniejsze siły duszy ludzkiej powstają z walki wrogich żywiołów, z nieprzejednanych kontrastów, stłoczonych w piersi tego samego człowieka”.
Anioł: Obchodzi mnie przedewszystkiem psychika pokolenia, w ręce którego moje pokolenie ma oddać tworzona przez siebie teraźniejszość jako tradycję i testament czynu dla przyszłości. Ta walka wewnętrzna młodego pokolenia sama przez się jest zjawiskiem raczej radosnym, ale ty za Kretschmerem zdajesz się zapominać, że nie każda walka kończy się zwycięstwem żywiołów pozytywnych — czasem wyczerpuje i obzwładnia cały organizm.
Jakób: Jednym słowem chodzi ci o następców z ducha, a nie z płatnych posad.
Anioł: Zbyt dosadnie to ująłeś, ale nie mniej prawdziwie. Nie we wszystkich nastąpił jeszcze proces wewnętrznego wyzwolenia z niewoli.
Jakób: Nie dla wszystkich w okresie niepodległości zmieniły się warunki życia z okresu niewoli.
Anioł: Ci, którzy wypracowali niepodległość już w okresie niewoli byli niepodległymi. Mimo przeciwności losu. Teraz los

T R E Ś Ć:
J. E. S K I W S K I
RELIGJA KULTURY
J A N L E C H O Ń
PRZEMÓWIENIE
C Z E Ś L A W M I Ł O S Z
P I E Ś Ń
E D M U N D M I L L E R
M I N I A T U R Y
W S P O M N I E N I E
I S C H E R Z O
J A N D Ü R R
D Z I E N N I K
P O D R Ó Ż Y
W Y S P I A Ń S K I E G O
P O S Z W A J C A R J I
I F R A N C J I
K A Z I M I E R Z W Y K A
O O C E N I E M Y Ś L I
B R Z O Z O W S K I E G O
S T A N I S Ł A W
C Z O S N O W S K I
O S T A T N I L I S T
P R Z Y B Y S Z E W S K I E G O
M A R J A N P I E C H A L
A N I O Ł I J A K Ó B
D R U G I D J A L O G
O A D A M I E
S K W A R C Z Y Ń S K I M
G Ł O W A C K I
Z A O C E A N E M
N A Ł A M A C H P R A S Y
N O T A T K I K R O N I K A

*) Pierwszy dialog patrz nr. 18 Pionu.

sprzja wewnętrznemu wyzwoleniu mimo tych samych warunków. Warunki przecież same nie zmieniają automatycznie narowów duszy. Do jej zmiany trzeba się dopracować i zmiana warunków zewnętrznych może być tylko równoległym wyrazem jej zmiany. Zmiana starych warunków życia bez jednoczesnej zmiany starych narowów duszy ludzkiej grozi powrotem do tych samych, starych narowów, czego dowodem choćby pewne objawy w dziejach dzisiejszego Z. S. R. R. Walka z kulactwem w Rosji, to ostrzegawcze memento dla nas, aby obywateli nie wychowywać pod demagogicznym hasłem: państwo dla obywateli. Wtedy wszyscy chcą brać, a nikt dawać. Owszem, państwo dla obywateli, ale i obywatela dla państwa. Zasada naszej rewolucji powinna polegać nie na zmieceniu całkowitem jednej klasy z powierzchni historii przez drugą, ale na zmieceniu z powierzchni naszego życia prywat i narowów tak indywidualnych jak i zbiorowych, pozostałych w nas i w naszych dziejach z okresu niewoli.

Jakób: Niewola Polski nie rozpoczęła dopiero z chwilą jej rozbiorów. Już dawno przedtem szlachta, bo ona przecież tylko może być za czasy przedrozbiorowe odpowiedzialna, jak nieprzeliczone masy chłopstwa tak samo i samą siebie trzymała w niewoli własnych przesądów, prywat i egoizmów. Zarówno chłop jak i rekrutujący się z pośród niego robotnik polski nie może być odpowiedzialny za dziś tak samo jak nie mógł być za wczoraj, gdyż żyje w tych samych warunkach dziś, co i wczoraj. Mieszczanstwo polskie, rekrutujące się ideologicznie właśnie z dawnej szlachty z całym doświadczeniem i zwłaszcza przekleństwem jej duchowego inwentarza, a biologicznie w tę żyzną fizyczną niejako urastające falami przeważnie karierowiczostwa od dołu z chłopstwa i proletariatu, posiada wszystkie cechy tych przesądów, prywat, przywar, nalogów i egoizmów, co i szlachta, zarażając nimi co szlachetniejsze dopływy od dołów społecznych, to znaczy tych jednostek z pośród chłopstwa, a zwłaszcza z pośród proletariatu, które walczyły w powstaniu 63 roku, w organizacjach bojowych 1905 roku i w legionach Piłsudskiego. Nietrudno w twarzyć niejednego z wczorajszych bohaterów rozpoznać rysy dzisiejszego karierowicza. Mówisz, że warunki nie zmieniają ludu, ale nie zaprzeczysz chyba, że warunki przeszkadzają a nieraz nawet wprost uniemożliwiają tę zmianę wewnętrzną człowieka, a co zatem idzie i społeczeństwa. Państwo żywe, państwo budujące swoją moc istotną musi się oprzeć nie tylko na siłę i tradycję ofiarnych i wyjątkowych jednostek, ale i na materiale mas żywych, które urabia do swoich celów przez tę właśnie zmianę warunków. Niema innej szkoły dla mas, prócz operowania takiego albo innego konkretnymi warunkami, wśród których te masy żyją.

Aniol: Sprawa jest bardziej złożona, niż ty ją tu wypowiedziałś. Można warunki zmieniać, i to się zazwyczaj praktykuje, pod kątem społecznej demagogii. W Polsce chcemy tego uniknąć. Bynajmniej nie z altruizmu, lecz czystego wyrachowania, poprostu z interesu. Tylko z interesu dobra ogólnego. Każdy akt demagogii społecznej wymaga ofiary w dziedzinie moralnej. Kosztem doraźnych zazwyczaj krótkotrwałych zysków nabywamy zastarzałe choroby społeczne, narazamy się na duchowe kalectwo, gdyż demagogia, w imię czegośkolwiek byłaby, zawsze jest odwoływaniem się do instynktów niższych zarówno w jednostkach jak i w masach i nadużycie tych instynktów, wywoływanie wilka z lasu zawsze kończy się mniej lub więcej bolesną katastrofą. Czy mam ci to ilustrować przykładami z dziejów demagogii rewolucji francuskiej albo bolszewickiej, albo niedawnej piatiletki w Z. S. R. R.? Zresztą dzieje przedrozbiorowe naszego kraju są tego najlepszym przykładem. Szlachta skorumpowana przez magnaterję, a magnaterja przez królów, stoczyła się ostatecznie na dno upadku, a z nią i kraj cały. Jeśli wyruszyła na wojnę w obronie kraju, to przeważnie nie z poczucia patriotyzmu i instynktu samoobrony narodowej, lecz dla uzyskania jeszcze jednego przywileju, jeszcze jednego podatku mniej, jeszcze jednej darowizny z dóbr królewskich i rzeczypospolitej, w przeciwnym razie wyprawa wojenna kończyła się nie zwycięstwem, lecz „wojną kokoszą”, dobrze jeśli wojną domową. Czyż chcesz, aby tą samą metodą, tym samym sposobem znieprawienia dusz

wciągać dzisiaj masy w orbitę świadomych działań i zadań państwa współczesnego? Czyż chcesz, aby konstytucję — i ustawy dzisiejsze zamienić w dawne „pacta conventa”, a prawa i przepisy w przywileje i nadania, tęczowe i nietrwale jak bańki mydlane, zależne od podmuchu chwili, nastroju i konjunktury? Czy chcesz powrotu tej samej atmosfery społecznej tylko dlatego, że zamiast dawnej szlachty będzie dzisiejszy chłop i proletariusz? Egoizm tłumu jest zawsze bez względu na piętro w hierarchii klasowej jeden i ten sam. Trzeba go z niego rozbroić...

Jakób: A?...
Aniol: A tak — rozbroić. Już wiem, co chcesz mi powiedzieć...

Jakób: Hml...
Aniol: ..Ze jeszcze nic mu nie dałem a już go chcę rozbrajać, już mu chcę odbierać...

Jakób: Złazcza go rozbrajać. To charakterystyczne słówko: rozbrajać. Boisz się tłumu?
Aniol: Boję się ciemnych sił, gotowych na usługi demagogii. Zważ tylko. Łatwo rewolucję rozpętać demagogją, ale nie łatwo przychodzi budować nią kraj od nowa, podnosić od fundamentów. A zwłaszcza niełatwo wypłynąć z duszy tłumu posiew demagogji, ubitej w psychikę zwycięstwem. Wtedy już trzeba jechać demagogją a demagogją. Uświęcić ją niejako w narodową religję tak jak to było u nas przed rozbiorem, a jest obecnie poniekaąd w krajach naszych sąsiadów. Można tak nieraz daleko i długo jechać, ale kiedy się zdarzy ostry zakręt historii, wtedy następuje katastrofa, nie tłum oczywście, lecz narodu, a raczej jego formy prawnej, państwa. Mieliliśmy przykład tego na własnej skórze. Czy mamy to powtarzać jeszcze raz?

Jakób: Nie. Wcale nie. Jest ogromna różnica między nieświadomą siebie i swej roli historycznej szlachtą, a świadomym tego tłumem proletariatu. Tam szlachta za coś wysługiwała się zawsze komuś lub czemuś, tu proletariatu chce służyć sobie samemu, wyłącznie sobie. To nie szlachta się wtedy skorumpowała, lecz ona była korumpowana stale przez tego, komu służyła. Proletariat w imię własnego dobra podlegał temu nie będzie. Nikt go zresztą nie odbarza przywilejami. W jego walce o samego siebie, o swą rolę i znaczenie historyczne w dziejach, hartuje się jego siła, wykrywa idealny moralny porządek współzycia społecznego. Szlachta dążyła do coraz wyraźniejszego wyodrębnienia się klasowego, do swego rodzaju obmuruwanej i zamuruwanej kastowości, proletariatu całym wysiłkiem rozwała te mury, dąży do ideału bezklasowości. Jest w ogromnej większości cech antytezą szlachty, a więc również i w dziedzinie moralności społecznej i obywatelskiej.

Aniol: Uprawiasz filantropję wiary. Jesteś znów sprzeciwny z samym sobą. Naogół taki septycyzny, wierzyś w tym wypadku w jakiś immanentyzm cech klasowych. Wszystko, co przynosi każda nowa klasa, to lepsze od tego, co wniosła stara, bo to jest nowe. Stara piosenka. Tak samo romantycy ludzili się co do opiewanego przez siebie w „balladach” i wszelakiego rodzaju „dumkach” i „romanach” ludu, nawet pisali Lud przez duże L. Dopiero przyszedł rok 1846 i wbił w postaci kulackiego bohatera Jakóba Szeli ostatni gwóźdź w trumnę romantycznego złudzenia — jak to plastycznie wyraził sowiecki krytyk literatury polskiej, Kamiński.

Jakób: Znow błędnie identyfikujesz proletariatu z „ludem”, jak poprzednio proletariatu ze szlachtą. Jest znaczna różnica, biorąc w całości, między chłopstwem w Polsce a proletariatem. Istota jej polega na tem, że proletariatu jest dziejowo bardziej dojrzały, a poza tem tradycjami, zwłaszcza w Polsce, bardziej zaangażowany w historię, niż chłopstwo. Można powiedzieć, że jak szlachta została skorumpowana przez magnaterję, tak znow chłopstwo przez szlachtę: myślenie społeczne, egoizm jednostkowy, zaściankowość, konserwatyzm, upodobanie do bezruchu, do status quo i głęboka nieufność do wszelkiej zmiany, do reformy, do poprawy — wszystko to odziedziczyło chłopstwo po szlachcie. Najუმniejszej strony charakteru społecznego dawnej szlachty można jeszcze dziś odnaleźć jedynie wśród chłopstwa. Proletariatu, wywodzący się co prawda w Polsce bezpośrednio z chłopstwa, stanowi jednak tę prze-

wagę nad niem, że jest niejako jego elitą. Co tęższe i niepodległe jednostki z pośród chłopstwa, jak dawniej w Kresy, na sicz zaporoską do kozaków, uciekały teraz do miasta. Tu pod wpływem całkiem nowym warunków zazwyczaj w zetknięciu z fabrykantem żydem i francuzem, majstrem niemiecem, a na ulicy z policjantem i żandarmem Moskalem, urabiał się typ polskiego robotnika-niepodległościowca, proletariusza-bohatera, tak bardzo czynnego, cennego i cenionego w ruchach rewolucyjno-niepodległościowych końca ubiegłego i początku bieżącego wieku, powstał typ bojowca, tak bardzo słuźonego sprawie niepodległości w roku 1905, 1914, 1918, 1920 i 1926. Tak, w tych wszystkich latach decydującą rolę w posunięciach polityki niepodległościowej odegrał bohater-proletariatu i masa proletariacka. Ona nigdy nie paktowała w osobach swych przedstawicieli z ugodaową polityką Romana Dmowskiego. Chłopi tak. To przecież przeciwko zjednoczonemu blokowi chłopskoburzniczo-kapitalistycznemu wymierzony był przewrót majowy. Chłopstwo zawsze dotąd stawalo tam, gdzie mogło materialnie skorzystać. Odziedziczyło najgorsze cechy klas posiadających. Z tej choroby uleczyć je może tylko proletariatu, bo przecież nie inne klasy dotknięte tą samą chorobą. Narazie jeszcze jest chłopstwo aspołeczne. A doniedawna było i antypaństwowe. Bunt góralski Kostki Napierskiego, kozacki Bohdana Chmielnickiego i kulacki Jakóba Szeli są tego dowodami. Dlatego nie mieszaj chłopca z proletariatem.

Aniol: Proletariatu, jak widzę, nie skończył jeszcze jednej walki z panującym mieszczaństwem, a już sobie otwiera furę do następnej walki z chłopstwem. Posłuchaj — tę rolę lekarza, którą wobec chłopstwa obiecuje w przyszłości odegrać proletariatu, tę rolę obecnie wobec wszystkich klas czyli całego narodu ma odegrać państwo. Nie może przecież proletariatu, ta naprawdę „klasa heroiczna” w naszej historii i naszej obecnej niepodległości, obcinać kuponów od swych zasług. Przecież powtórzyły się ten sam proces błędów, co z możnowładztwem w dawnej Polsce i co ze szlachtą i mieszczaństwem doniedawna. Powróciłby znow problem „paktów konwentów” zamiast konstytucji i przywilejów zamiast ustaw i praw równych dla wszystkich. I znow wyłoniłby się problem kastowości, korupcji i demagogji społecznej, jako państwowej racji stanu i jako jedynej z możliwych siły dziejowej w Polsce. Nie, ofiara i zasługa „klasy heroicznej” w Polsce musi być bezinteresowna. Wtedy tylko będzie całkowita i zupełna. I owojna. Przejdźcie w nowy mit Polski nowej.

Jakób: Było rycerstwo wiary — Sobieski, rycerstwo ojczyzny — Żółkiewski, rycerstwo wolności — Kościuszko, jest teraz rycerstwo dziejów — klasa heroiczna, proletariatu. Masz rację, jeszcze nie pokonało mieszczaństwa, a już marzy o walce z chłopstwem, z chłopstwem nazewnątr z i z chłopstwem w sobie: widmem chamstwa, zastoju, egoizmu i ciemnoty. Powiadasz, że państwo zgłasza obecnie gotowość odegrania roli lekarza nie tylko wobec chłopstwa, ale wobec wszystkich klas narodu. Proletariatu ma jednak głęboką nieufność, nie odziedziczoną po chłopstwie w związku ze swem pochodzeniem, ale z historii długich i dość gorzkich własnych doświadczeń, co do państwa w roli lekarza. Tak jak człowiek ma też i klasa każda swoje przekonanie dziejowe, w którym nikt, i nic nigdzie i nigdy nie może wyręczyć. Historia nie jest targowiskiem przeznaczonym. Los narodu, los klasy, los człowieka tem się jednak różni od losu na loterję, że go nie można sprzedać ani odstąpić. Zresztą wyręczenie przez państwo poszczególnych klas, grup i t. p. w ich niejako przyrodzonych zadaniach historycznych, słowem, utrącanie przez państwo względnie przejmowanie przez t. zw. samorządną inicjatywę społeczną z punktu widzenia dobrze pojętej dydaktyki narodowej nie jest pożądane.

Aniol: Ale państwo nie może zrezygnować z roli regulatora i z pierwszeństwa w inicjatywie, a znow klasa nie może się identyfikować z państwem, a przynajmniej identyfikować go z organem sobie tylko podległym, uważać go za tubę swoich wyłącznie doraźnych hasel czy nawet głębokich i słuźnych dziejowo idei.

Jakób: Oj, czy to czasem nie karykatura autorytetu państwa? Jeżeli nawet w imię uzasadnionych i dziejowo słuźnych hasel klasa, czy warstwa czy jakakolwiek cząstka

żywego narodu nie może wystąpić wbrew zaszczepionemu sybarytzmowi państwa, to jak w takim razie przeprowadzić granicę między karnościami obywatelską, a bezduszną niewolniczościami? Państwo, które oddało inicjatywę dziejowo słuźnych hasel którejs ze swoich klas, warstw lub grup, już nie jest państwem we właściwym tego słowa znaczeniu, gdyż jest bez duszy, jest odtąd aparatem biurokratycznym, martwą machiną, którą poruszyć, a więc której duszą być może tylko ta klasa czy ten odłam narodu, który posiada ideologię dziejowo słuźną czyli historjo-twórczą. Tę prawdę doskonale rozumieli w starożytności i tę prawdę rozumiał też w Polsce jeden jedyń Norwid, kiedy pisał w „Rzeczy o wolności słowa”: „Tę zaś nową rację lud uwiadomił rzymski przez manifestację, na Monte-Sacro idąc w porządku i grozie takiej, że epopeja dziwiła się prozie, a senat wysłał męża...”. A więc senat rzymski zrozumiał, że dusza narodu przejawiała poza nim, dlatego posłał „męża” po nią do manifestującego ludu. A potem jeszcze do Karola Ruprechta tak o tej sprawie pisał Norwid: „Manifestacje mas, ogólnem poczuciem poruszonych, są zarysem pierwowcząstkowym”. A więc zadaniem państwa jest raczej rozwijać te „pierwowcząstki” prawd wydobytych na wieżach życia społecznego przez manifestacje mas, a nie tłumić je i ustosunkowywać się do nich wrogo. Podejmując i rozwijając te „pierwowcząstki” prawd uwidoczniwych przez masy do potęgi (że tak sparafrazuję Norwida) ogarniającej naród cały, państwo wtedy bogaci się w treść, pomnaża skład swego potencjału społecznego, słowem urasta duchem. A jednocześnie ma cel poza sobą, służy obywatelom, jest moralne.

Aniol: Jakże?
Jakób: Moralne. Państwo jest wtedy moralne, kiedy daje w najogólniejszym znaczeniu szczęście, mierzone t. zw. dobrem pocuciem swoich obywateli.

Aniol: Dobre pocucie obywateli zawsze można podtrzymać i rozciągać w permanencję właśnie demagogją. Niedobrze jest, kiedy państwo wobec swych obywateli ucieka się do stosowania demagogji, ale gdy obywatela stosują demagogję wobec swego państwa, — jest jeszcze gorzej; gdy to zachodzi obopólnie — jest już zupełnie źle. Te oba przytoczone co dopiero przez ciebie cytaty z Norwida świadczą właśnie o takiej demagogji tłumu, ten pierwszy — całkiem wyraźnie o demagogji tłumu wobec państwa i państwa wobec tłumu. Rezultat? Niebawem nastąpił upadek imperjum rzymskiego. Zauważam pozatem, że zaczynasz argumentować moją metodą — używasz dowodów z ksiązek i z historii zamiast z życia.

Jakób: To dlatego aby ci trafić do przekonania. Bo gdybyś ci wskazał żywe przykłady, wyrosłe z rodzimego gruntu obecnej rzeczywistości, to skłonny byłbyś zakwalifikować je, jako wyrazy jedynej antypaństwowej demagogji, pod którą zresztą podciągnąłbyś już i tamte historyczne.

Aniol: Oczywiście trzeba tu odróżnić demagogję świadomą od nieświadomej, ale skutki ostatecznie są zawsze te same. Batorey, ścinając Zborowskiego, walczył bezwiednie z zastarzałą tradycją nieświadomej demagogji królów wobec możnowładztwa i szlachty et vice versa. Apologetą takiej nieświadomej demagogji był wśród historyków naszych Joahim Lelewel, dlatego też tak ujemnie ocenił Batorego. Demagogja w Polsce, a i nie tylko w Polsce, ma za sobą wielowiekowe dzieje, jest tak stara, jak stare są tradycje naszej narodowości, jest niejako składnikiem integralnym wprost elementem, naszej kultury narodowej. Ale jej panowanie niepodzielne się skończyło, likwiduje się ją obecnie wraz z likwidacją resztek Polski starej, wypruje ją się z dziejów naszych aż do ostatecznej nitki. W Polsce nowej niema dla niej i nie może być miejsca. Polskę nową cementuje człowiek, który wyrósł na symbolach narodu nie mocą jego demagogji, lecz własną siłą moralną. On ostatecznie urwie łeb odwiecznej hydrze polskiej demagogji. Już nie mam więcej nic do powiedzenia. Jestem senny...

Jakób: Cała ideologia twoja podszyta jest echem dawnego romantyzmu: „łeb urwać hydrze”. O Centaurze, o Farysie, piejęś odę do młodości narodu! Ale młodość czy młodość narodu nie jest romantyczna. Musi być metoda w tem szaleństwie.

Aniol: A jest. Najpierw założenia, a potem wnioski metodyczne. Potężny sąsiad na

wschodzie, potężny na zachodzie. Musimy być potężni. Wszystkie zdrowe elementy narodu muszą podlec nowej metodzie wychowania obywatelskiego. Złą szkołą są tradycje anarchizyczne dawnej szlachty, jeszcze gorsze tradycje ugodowe polskiego mieszczaństwa. Polskie drobnomieszczaństwo w roli spadkobiercy dawnych tradycji feodalistycznych usiłuje realizować je teraz, mamy tego próby, ale oczywiście nie na miarę Fidjasa, lecz krawca. Chłoptwo a zwłaszcza „klasa heroiczna” — proletarijat, nic dobrego nie wyniosą z takich rodzinnych szkół, a i z freblówek zagranicznych ideologii, opartych na egoizmie klasowym, — też nic nowego z punktu widzenia polskiej racji stanu w konjunkturze politycznej obecnej Europy, prócz chyba starej metody demagogii społecznej, w Polsce już wypraktykowanej na wszystkie kanty i odpokutowanej tak indywidualnie, jak i zwłaszcza zbiorowo. Wspomnij tylko na martyrologię szubienic i Sybiru w Polsce, zwróć uwagę na opóźnienie ekonomiczno-kulturalne kraju. To stuletni conajmniej ugór. Chcę zmiany warunków, o której mówić na początku, w imię jednej wielkiej, ale wspólnej idei, a nie w imię doraźnych interesów choćby nawet większości. Przez to uniknę demagogii. Przez to wypełnię w duszach zwłaszcza chłopstwa i proletarijatu zasiań przez zaborców nieopatrzną nienawiść do jakiegokolwiek władzy i nierozsądną pogar-

dę do państwa. Przez to zapoczątkuję wychowanie całego narodu, wszystkich jego klas, na całkiem nowych, dotąd nigdzie nie praktykowanych, zasadach. Przez to zapoczątkuję naszą, istotnie polską, rewolucję społeczną, która będzie zarazem i narodową. Już dosyć — jestem senny...

JaKób: Jesteś senny? Rzeczywiście — jest noc...

Anioł: Noc... w tobie...

Jakób: Noc w nas. Wołamy do siebie przez ciemność, przez noc, przez martyrologię skrzypiących szubienic, która w Polsce jeszcze się nie skończyła tak, jak się skończyła martyrologia Sybiru. „Tam gdzie ostatnia świeci szubienica, tam jest mój śródek dziś, tam ma stolica, tam jest mój gród” — te słowa Norwida nie straciły w wielu ustach nic na aktualności. A dopóki będzie choć jeden człowiek w Polsce, dla którego te słowa będą żywe, nic się w Polsce nie zmieniło, tylko pół na pół. Sybir znikł, szubienice zostały... Wszystko tylko w połowie, stąd życie nasze rozdarte przez pół, stąd dusze rozszczerzone przez dialog, który teraz tak symbolicznie dla obecnej rzeczywistości naszej w ciemnościach prowadzimy. Wszystko, co mówisz i co robisz, to nie życie, to sen...

Anioł: Sen?... Życie!

Jakób: Sen o potędze...

Anioł: Potężne życie...

EDMUND MILLER

M I N I A T U R Y

WSPOMNIENIE.

Przeżyliśmy wtedy z Edwardem niewyjątkowe rzeczy. Nie były to wydarzenia zewnętrzne, nie działo się dokoła nas nic. Ale — mówiąc ówczesnym naszym stylem — w myślach naszych przewalały się burze, zapalały się i gasły pożary, i po każdym takim pożarze na zgłiszczach buchał nowy płomień. Ten rok obfity był w doświadczenia. W ciągu jednego roku staliśmy się dojrzałymi ludźmi. Przeskoczyliśmy lat dzieśnięć, a może i więcej. O tem możnaby napisać pękata historję. Lecz nie o historję mi chodzi. Chodzi mi o utrwalenie pewnego momentu.

Był zmiersch.

Nad cmentarzem powązkowskim zrywały się szepty drzew, niespokojnych przed nocą. Staliśmy na dwumorgowym polu, obsianem warzywami. Pośrodku letniej dojrzałości. Na przełomie sierpnia i września. Na północ od nas — mur cmentarny. Na wschód — pole sąsiada, a za nim — parkan cmentarza żydowskiego. Na południe — kilka rud, w których mieszkała bieda z nędzą. Na zachód, po drugiej stronie ulicy, biegnącej wzdłuż pola — kilka małych kamieniczek, poprzedzielanych parkanami.

Było pusto i żaden odgłos miasta nie docierał do tej cmentarnej dzielnicy.

W trzecim roku okupacji niemieckiej mieliśmy swoje 17, 18 lat i chmurnie spoglądająca, wieloletnią dojrzałość jednego roku, który obfitował w doświadczenia. O czem długoby mogły szeleścić kartki pękatej historii.

Edward był w szaro-siniej kurtce. Nosił się wówczas jak strzelec z rozbrojonej brygady Piłsudskiego. Może to ubranie kupił mu ojciec od jakiegoś autentycznego legjonisty. Nie wiem. Nigdy o to nie pytałem. To wcale nie było ważne. Jak wogóle ważne nie było: co jeść i jak się ubierać — i co o tem powiedzą ludzie. Względem opinii spotykanych osób żywił się zdecydowaną pogardą, bowiem przerośliśmy o wiele lat nietylko swych rówieśników, lecz także dorosłych.

Edward miał na sobie kurtkę strzelecką, która doskonale harmonizowała z sinawym zmierschem trzeciego roku okupacji. A na Powązkach szeptały drzewa.

Kiedy zmiersch zgęstniał i po drugiej stronie jezdnii w paru okienkach zapłonęły lampy naftowe, a na ulicy nie było wcale przechodniów — samotność naszą uświetniła pierwsza gwiazda. Wkradła się na niebo nagle i wtedy pomyśleliśmy o dalekiem mieście, gdzie nikt się nie buntował, gdzie było głucho, bezmyślnie, apatycznie.

Lecz myśmy mieli 17, 18 lat i daleko, daleko więcej, a nasza samotność tu — wobec pustej ulicy i gwiazdy wieczornej — dawała nam poczucie nadmiaru sił.

Dlatego to zapewne nad dwumorgowym

połem — głuszac cmentarne szepty drzew, odbijając się echem od sennych kamieniczek — ozwała się pieśń o czerwonym sztandarze, który płynie ponad trony. Nikt nie protestował i nikt pieśni nie podchwycił. W sennych kamieniczkach palily się gdzieś niedługo lampy naftowe. Dopiero gdyśmy ucichli, z jednego ciemnego okna ktoś parę razy klasnął w dłoń.

Gęsty mrok osiadł naokoło pola — ci chy mrok letni, w którym szarzała kurtka Edwarda i w którym zawisło tyle samotności, że możnaby nią obdzielić wielu silnych ludzi.

Spoglądaliśmy w mrok, nasłuchując, czy kto nie idzie. Lecz nie docierał tu żaden odgłos miasta i nikt nie szedł ulicą.

Na niebie było coraz więcej gwiazd.

SCHERZO.

Roztopioną mazią znużenia oblepił upał białe, pokrwawione fartuchy rzeźnicze, czerwone okiennice jatek na przedmieściu, ceglaste wypieki nietynkowanych parterowych domków, latane blachą dziury w zbutwiałych parkanach, zieloną szylid piwiarni, lepkie różowe karmelki w oknie sklepiku, i wyboisty bruk, i bezbarwne od słońca niebo.

Natarczywie bzykały muchy. Brudno-żółty pył, unoszący się z bruku, zasychał w gardle pragnieniem ucieczki i zaniku.

Dźgnięte rzeźniczym nożem upału, ośmieszony skwarnym, ochryplym targiem sklepikarzy, umierały wysubtelnione, wiotkie, smę i iluzję pachnące tęsknoty i żale — i sama myśl, że począł je niegdyś chłodny, gwiazdzisty mrok samotności, stała się teraz natarczywie bzyczącym absurdem.

Wówczas z za węgla wysokiego muru, za którym rosły stare drzewa parku, wyszedł niedzielny ranek. Miał ciemno-błękitne horyzonty w oczach i długie liljowe palce, zakończone — miast brzuśców — bembolami. Zresztą, był cały aksamitno-szklany.

Naokoło — wzdłuż i wszcz — w górę i w dół — po wysokim murze parku, po wyboistym bruku i szybach samotnego narożnego domku zabiegaly zręczne, bystre bembole, — i — nagle — szyldy jatek i sklepików zszarzały w cieniu zimowych obłoków, na szybach narożnego domku zakwitł srebrzysty zrn, brudna woda w głębokim rynsztoku polryła się kruchem, modrem szklivem.

Górne wiolinowe staccato przegrupowało domy, parkany i uliczne przedmieścia. Powstały w nich perspektywiczne głębie i mistrzowski rysunek zaułków, w których mieszka przecucie melodji. Mroźny bas ogarnął bruk i niebo nasłuchiowaniem.

Stary park szumiał nad wysokim murem, gdy pełna radosnego łęku stąpała śród aksamitnych, błękitno-czerwonych akordów jasno-oka dziewczyna, idąc na pierwsze spotkanie z pierwszą miłością.

...„Trzyletni okres kierowania przez Bronisława Pierackiego polityką wewnętrzną państwa jest oryginalną kartą Jego twórczej pracy państwowej. Jej myślą przewodnią i postulatem naczelnym było dążenie do pogłębienia ideowej strony rządów autorytarywnych i scharmonizowania ich z wolnością, ze swobodami obywateli. Była to polityka długiej fali, zmierzająca do skupienia na platformie Państwa wszystkich społecznych i narodowych grup obywateli — szukająca porozumienia, pojednania i elementów współżycia w imię siły i potęgi Rzeczypospolitej...

...„Składając hołd śmiertelnym szczątkom Bronisława Pierackiego... stwierdzam w imieniu rządu, że tragiczny Jego zgon nie zmienia wytkniętych przez niego celów polityki państwowej”.

(Z PRZEMÓWIENIA PREMJEERA L. KOZŁOWSKIEGO NAD TRUMNĄ S. P. MINISTRA BRONISŁAWA PIERACKIEGO)

CZESŁAW MIŁOSZ

P I E Ś Ń

A n n a

Ziemia odpływa od brzegu na którym stoję i coraz dalej świecą jej trawy i drzewa. Pączki kasztanów, światła lekkiej brzozy już nie zobaczę was. Z ludźmi umęczonymi oddalacie się ze słońcem kołysanem jak flaga biegniecie w stronę nocy, boję się zostać sama, prócz mego ciała nic nie mam, ono błyszczy w ciemności, gwiazda ze skrzyżowanymi rękami aż straszno mi patrzeć na siebie. Ziemi, nie opuszczaj mnie.

C h ó r

Z rzek dawno spłynęły lody, bujne wyrosły liście, plugi przeszły po polach, gruchają w lasach gołębie, Górąmi sarna przebiega, pieśni weselne krzyczy, Kwiaty wysokie kwitną, parują ciepłe ogrody. Dzieci rzucają piłką, tańczą na łąkach po troje, Kobiety bieliznę piorą w strumieniach i łowią księżycę. Radość wszelka jest z ziemi, niemasz prócz ziemi wesela, Człowiek jest dany ziemi, niech ziemi tylko pożąda.

A n n a

Nie chcę ciebie, nie skusisz mnie. Odpływaj, siostrzo pogodna. Czuję twój dotyk jeszcze, twój dotyk szyję mnie pali. Noce miłosne z tobą, gorzkie jak popiół chmur, a świt nadchodził po nich w czerwieni, nad jeziorami niosły się pierwsze rybitwy i smutek taki, że płakać nie mogłam już, tylko leżąc liczyć godziny ranka, słuhać zimnego szumu wysokich, martwych topoli. — Ty, Boże, miłościw mnie bądź. Od ust ziemi chciwych odłącz mnie. Od pieśni jej nieprawdziwych oczyść mnie.

C h ó r

Kręcą się kołowroty, ryby trzepocą się w sieciach, Pachną pieczone chleby, toczą się jabłka po stołach, Wieczory schodzą po schodach, a schody z żywego ciała, Wszystko jest z ziemi poczęte, ona jest doskonała. Chylą się ciężkie okręty, jadą miedziami bratowie, Kołyszają karkami zwierzęta, motyle spadają do mórz, Kosze wędrują o zmierzchu i zorza mieszka w jabłoni. Wszystko jest z ziemi poczęte, wszystko powróci do niej.

A n n a

O, gdyby we mnie było choć jedno ziarno bez rdzy, choć jedno ziarno, któreby przetrwało mogłabym spać w kołysce nachylanej naprzemian w mrok, naprzemian w świt. Spokojnie czekałabym, aż zgaśnie ruch powolny, a rzeczywiste nagle się obnaży i tarczą nowej, nieznanomej twarzy spojrzy kwiat polny, kamień polny. Wtedy już oni, żyjący kłamiwie, jak wodorosty na dnie wód

zatoki,

byliby tem, czem leśne igliwie dla kogoś, kto w las patrzy z góry, przez obłoki. Ale nic niema we mnie prócz przestrachu, nic oprócz biegu ciemnych fal. Ja jestem wiatr, co nikt nie widzi w ciemnych wodach dmie, wiatrem jestem idącym, a niewracającym się, pyłkiem dmuchawca na czarnych łąkach świata.

Ostatnie głosy

W kuźni nad wodą młotek uderza, Schyłony człowiek naprawia kosę I świeci głowa w płomieniu ogniska.

Pierwsze łuczyczo zapala się w izbie, Na stół głowę kładą parobcy zmęczeni. Już misa dymi, a świerszcze śpiewają.

Wyspy są zwierzętami śpiącymi, w gnieździe jeziora układają się mrużąc, A nad niemi obłok wążutki.

J. E. SKIWSKI

RELIGJA KULTURY

BERDJAJEW O KOMUNIZMIE

Mikołaj Berdjajew należy do typu pisarzy — u nas, gdzie fachowość jest jałowa i nudna, a synteza pusta i frazeologiczna — prawie nieznanego. Filozof i pracowity uczoney, poświęcił swą wiedzę i talent wielkiej syntezie filozoficznej, przesyconej temperamentem, umiejscowiając sobie miejsce w życiu, a przytem ani trochę nie dyletanckiej, owszem, mocno, sumiennie ugruntowanej.

Berdajew wydał nową książkę po francusku p. t. „Le problème du communisme”.

Nie jest moim zamiarem recenzowanie tej książki. Pragnę zwrócić uwagę na tę tylko jej stronę, która posłuży mi do wysnuć własnych rozważań.

Teza Berdjajewa, wybijająca się na czoło książki streszcza się w zdaniu, że panująca w Rosji sowieckiej doktryna marksistowsko-leninowska jest czemś więcej niż teorią ekonomiczną, że jest religią.

Komunizm rosyjski, jak każda religia, zawiera bardzo rygorystyczną i ściśle sprecyzowaną etykę, różniąc się tem od zwykłych teorii ekonomicznych. Komunizm rosyjski ma również swoją eschatologię, opartą na wierze w mesjaniczną rolę proletariatu. Nie obce mu jest pojęcie grzechu pierworodnego, którym dla komunizmu jest eksploatacja jednej klasy społecznej, przez inną. Z tem założeniem wiąże się wiara w zbawczą rolę proletariatu, jako klasy wybranej (analogia z „narodem wybranym”), wolnej od tego grzechu pierworodnego ludzkości. Wreszcie, przyszłe społeczeństwo bezklasowe, które ma się wyłonić jako rezultat zupełnego pogromu burżuazji, nosi cechy tworu idealnego, którego rzeczywistości drogę rozumową dowiódł niesposób. Komunizm rosyjski ma swoją ortodoksję, a każde od niej odchylenie piętnuje jako herezję. Dyskusje pomiędzy heretykami i ortodoksami mają raczej postać sporów egzegetycznych, niż dialektycznych. Powołanie się na werset z Marxa i Lenina przesądza sprawę. Ortodoksyjność komunistyczna ma zasięg uniwersalny: nietylko odrzuca inne teorie ekonomiczne, ale również inną fizykę, niż ta, która zdaniem wodzów komunizmu, odpowiada doktrynie marksistowsko-leninowskiej. Tak jak jest ekonomja „bolszewicka” i „kulacka”, tak też jest „bolszewicka” i „kulacka” fizyka. Może się to wydawać komuś śmieszne, ale niepodobna zaprzeczyć temu rygorystom logiki i konsekwencji. Jeśli np. chodzi o fizykę, to oczywiście że teorie podcinające wiarę w realność materji, wyjaśniające ją zbyt abstrakcyjnie, są wrogię komunizmowi, który chce podtrzymywać w ludziach niezachwianą wiarę w realność materji, co się znów wiąże najściślej z materializmem zarówno filozoficznym jak dziejowym. Wreszcie, mają Sowjety zaczątki liturgji, przybierającej postać zupełnie konkretnej w kulcie Lenina.

Berdajew opisuje te sprawy szczegółowo, kładąc szczególny nacisk na rolę, którą w rozwoju komunizmu sowieckiego odegrały pierwiastki rosyjskie, zwłaszcza wiara Rosjan w zbawczą rolę ludu rosyjskiego, narodu — „bogonosca”.

Ale przechodzę nad temi sprawami do porządku. Z książki Berdjajewa zatrzymuję dwa twierdzenia. Pierwsze, że komunizm rosyjski jest czemś więcej niż teorią ekonomiczną, że posiada cechy systemu religijnego. Tem zresztą da się tylko wytłumaczyć jego nienawiść do innych religij, szczególnie do chrześcijaństwa.

Drugi punkt, to pogląd o wyjątkowej brzydocie komunizmu rosyjskiego. Zazwyczaj mówi się o jego okrucieństwach. Ale kto wie, czy nie gorszą, bo trwalszą i nieuleczalną jego cechą, jest brzydota. Ta absolutna, przynajmniej obcość wszystkiemu, co jest pięknem, lekkością, wdziękiem. Koszarowy patos komunizmu przytłacza. Człowiek zachodniej formacji nie mógłby żyć w państwie, gdzie ludzie chodzący w szarych, spadających na oczy czapach. Ta brzydota komunizmu nie jest czemś przypadkowym, przeciwnie, wiąże się z komunizmem rosyjskim tak samo ściśle, jak liturgia katolicka z religią katolicką.

Brzydota, i dodam od siebie — nuda. Ta sama rosyjska nuda, która dławila Rosję carską, która tkwiła na dnie „kutięży” gwardziejców, rozbijających lustra i wycierających palmy w gabinetach restauracyjnych, która wsączała się wraz z bulgorem szampa do wnętrza pięknego Bechsteina, zamienionego fantazją pijanego kupca w akwarjum, napelnione niemrawem stadkiem ciężkich od oliwy, smutnych sardynek bez głów.

Religia komunizmu jest najbardziej ponurą ze wszystkich istniejących religij. Jej eschatologia — idealne państwo bezklasowe, wolne od niesprawiedliwości społecznej (— do czego wolne? —) jest ideałem najbardziej wysuszonego ascetyzmu, jaki sobie można wyobrazić. Jej materializm — najgruntowniej wyprany z uśmiechu. Komunista walczy o świat, którego nie uposaża w żadną radość, w żaden z tych demonicznych gestów, które nadawał swoiste piękno rewolucji francuskiej. Chodzi tu tylko o dobrnięcie do końca żmudnej i ciężkiej drogi, o wypełnienie najbardziej ponurego proctwa, jaki kiedykolwiek człowiek wypowiadał. Nie twórczość życiowa, ale posępna pedantyczna inżynierja.

WYBUCH WIECZNOŚCI

Berdajew umie widzieć w życiu jego patos filozoficzny. „Apokalipsa to nietylko koniec dziejów — pisze Berdjajew — istnieje apokalipsa w łonie samej historii. Koniec jest zawsze bliższy, czas chyli się ku wieczności. Świat, w którym żyjemy, nie jest nigdy całkowicie zamknięty. Istnieją okresy, kiedy stosunek czasu do wieczności daje się odczuć ze szczególną siłą. Moment eschatologiczny nie oznacza tylko sądu wydanego nad historją, ale również sąd wydany nad ludzkością w ciągu jej dziejów. I komunizm jest właśnie takim sądem”.

Komunizm — to jeden z tych decydujących zwrotów w historii ludzkości, kiedy załatwia się jakiś zastarzały rachunek dziejowy, kiedy naprawia się coś podstawowego. Moment wielkiej likwidacji jednego z odwiecznych grzechów ludzkości, grzechu wyzysku człowieka przez człowieka, klasy przez klasę. Berdjajew w ocenie wielkości tego grzechu i w poczuciu potrzeby jego zwalczania niczem nie różni się od najprawniejszego komunisty. Na kapitalizm wydaje surowy wyrok potępienia. Różni się zaś od komunistów w jednym tylko, ale zasadniczym punkcie: nie godzi się, by ta naprawa nastąpiła drogą zaprzeczenia indywidualności ludzkiej, i jej pogńębienia — ale drogą jej odrodzenia w Chrystusie. Oto jego słowa: „Przeciw komunizmowi integralnemu można tylko podnieść chrześcijaństwo integralne. Nie chrześcijaństwo teoretyczne, rozproszone, dekadentkie, — ale chrześcijaństwo odrodzone, realizujące swoją odwieczną koncepcję życia uniwersalnego, uniwersalnej kultury, uniwersalnej sprawiedliwości. Cała przyszłość społeczeństw chrześcijańskich zależy od tego, czy chrześcijaństwo, a ściślej mówiąc, czy chrześcijanie odrzuca pomoc kapitalizmu i niesprawiedliwego ustroju społecznego, czy chrześcijańska ludzkość sprobuje ostatecznie zrealizować w Imię Boga i Chrystusa prawdę, którą komuniści realizują w imię społeczności bezbożniczej i raję ziemskiego”^o). I dalej: „Albo będziemy świadkami wielkiego odrodzenia chrześcijańskiego, nietylko wśród elity ale i w najszerszych masach — albo też świat stanie się lupem komunistycznej negacji”.

POSTĘPY ZDROWEGO ROZSĄDKU

Słowem: albo komunizm negujący życie indywidualne, kulturę, stwarzający ludzkość bez oblicza, zmechanizowaną, szarą, brzyd-

^o) To ostatnie określenie wydaje mi się zresztą niefortunne i sprzeczne z wywodami autora.

ką i smutną — albo odrodzenie chrześcijaństwa, a wraz z niem odrodzenie kultury, piękna i godności życia.

Aby zdać sobie sprawę z wartości owej koncepcji odrodzenia ludzkości przez chrześcijaństwo, a w szczególności zwalczania komunizmu przez chrześcijaństwo, trzeba rozważyć parę popularnych poglądów zakorzonych tak bardzo w umysłach ludzkich, że odnaleźć ich ślady nietrudno nawet u wytrawnych filozofów, takich, jak Berdjajew.

Dopuszczmy na chwilę do głosu zdrowy rozsądek ludzki. Oto coby powiedział w tej sprawie.

„Komuniści zwalczają niesprawiedliwość społeczną. Ja też ją zwalczam. Niech co chcą mówią subtelni doktorowie krzywdy społecznej, a nie pogodzą się nigdy z faktem, by była rzeczą słuszną niższość społeczna jednego człowieka przed drugim, eksploatacja jednej klasy przez inną. Do tego punktu zgadzam się z komunizmem. Ale dalej, skoro komunizm zamyka się wyłącznie w kręgu materji i doczesności, skoro przesładuje jako nienawistną sobie myśl o wiecznej sprawiedliwości, skoro odrzuca wszelką transcendentję, to temsamem, o ile nie chce zawisnąć w próżni, musi przyjąć jakiś inny ideał, któryby zaspakajał człowieka. Takim ideałem nie może być sama tylko sprawiedliwość społeczna. Uznaję ją, ale widzę w niej nie cel, a tylko środek do urzeczywistnienia innego celu, którym jest szczęście ludzkości. Ale to szczęście może się realizować tylko wtedy, kiedy indywidualność ludzka osiągnie pełną swobodę działań. Etyka wyrzeczenia tłumienia życia indywidualnego jest do pomyślenia wtedy, kiedy uważając życie ziemskie za niedoskonałe, odmawiamy sobie uciech doczesnych w imię wyższego transcendentnego ideału. Skoro jednak ten ideał się odrzuca, szczęście poszczególnych ludzi wysuwa się automatycznie, jako jedyny ideał, możliwy do utrzymania. Uprawianie etyki wyrzeczenia, której nie przyswieca żaden ideał zaświatowy, która z pogardą odrzuca użycie — to szaleństwo dla którego nie mogę znaleźć żadnego usprawiedliwienia”.

I dalej zdrowy rozsądek powiedziałby tak jeszcze.

„Zupełnie co innego ideał chrześcijański. Przedewszystkiem sama koncepcja życia przyszłego, w którym nastąpi wyrównanie naszych krzywd i szczęśliwość wiekuista, nadaje sens naszemu życiu na ziemi. Nadzieja na życie przyszłe wyzwala nas raz na zawsze od tej gniołającej i niezdolnej myśli zatrzymującej nam wszelką radość, że życie człowieka kończy się na ziemi. Pewni, że mamy zagwarantowane życie przyszłe, wybieramy chęci do życia. A to właśnie jest nieodzownym warunkiem rozkwitu naszych władz, a przez to rozkwitu naszej kultury. Dopiero w atmosferze chrześcijańskiego poglądu na świat możemy oddychać, tworzyć, budować, nietylko nasze własne zbawienie, ale i kulturę doczesną”.

Ale zdrowy rozsądek ma przyzwyczajenia biurokratyczne. Łączy rzeczy nie według ich wewnętrznych pokrewieństw, lecz według zewnętrznego podobieństwa. Nie tyle dba o rzeczywiste stosunki jakie zachodzą pomiędzy rzeczami, ile o to, by te stosunki układały się w deseń logiczny i poprawny.

Dlatego to głos zdrowego rozsądku w kontrowersie pomiędzy komunizmem a chrześcijaństwem nie może być rozstrzygający.

Najpierw więc to pozornie „niezbite” zdanie, że dopiero wiara w życie wieczne nadaje sens życiu doczesnemu i dodaje nam siłę do budowania kultury.

Pozornie wszystko tu jest jasne. Istotnie, poco budować, skoro śmierć wszystko zmiecie? I odwrotnie, warto budować, skoro śmierć jest tylko przejściem do nowego, doskonalszego życia. Dopóki przyjmujemy to zdanie w tej surowej formie, nie zastanawiając się nad **jakosciami**, które operuje, do-

póty rozumowanie wydaje się bez zarzutu. Ale właśnie rzecz w tem, że jakości wzajemnie się wyłączają. Ze to, co — w myśli poglądu chrześcijańskiego — zostaje z życia po śmierci nie ma nic wspólnego z tem, co stanowi esencję, rdzeń życia ziemskiego. Chrześcijaństwo, jest, rzecby można, religją „nagiej duszy”. Ma do czynienia zawsze z duszą indywidualną. Im ta dusza jest, w znaczeniu ludzkim, uboższa, tem wyższe hierarchicznie zajmuje miejsce w chrześcijańskim niebie, należącym do maluczkich, cichych, ubogich duchem, będących „jako działki”. Człowiek niesie z sobą do nieba tę najuboższą pokorę serca, a nie to, co w życiu stworzył i co, być może, było podwaliną jego chwały. Nie zbawia go jego twórczość, lecz jego pokora. Im bliższy jest bieguna pokory, a im dalszy bieguna świetności ziemskiej, tem wyższe zajmie miejsce w niebiesiach. Bo życie wieczne jest zaprzeczeniem życia doczesnego. Są to dwie jakości, które się wzajemnie wyłączają. Przejście od jednego do drugiego jest przejściem od jednej jakości do innej. Całe nasze budownictwo doczesne jest temsamem, rzeczą błahą i niepotrzebną. Im głębiej jest w nas zakorzenione poczucie wieczności, im wyższe i wspanialsze tworzymy sobie o niej pojęcie, tem bardziej wszystko, na co spojrzymy wokoło, topnieje w promieniach tego absolutnego światła. Wieczność kompromituje życie. Na to niema rady i żadne przebiegłe rozumowanie tego nie zmieni. Chrześcijaństwo mówi człowiekowi: budujesz? Więc dobrze, buduj sobie dalej. Niech ci się zdaje, że robisz coś ważnego i pożytecznego. Baw się, skoro to ci do życia potrzebne. Byłeś nie obrażał moich praw, zezwalam na zabawę. I ten stan tolerancji w zawieszeniu trwa do momentu śmierci. Tu chrześcijaństwo pokazuje człowiekowi trupią czaszkę z dwoma na krzyż złożonymi piszczałkami: oto twój kres. Zabawę trzeba kończyć. Teraz dopiero zaczyna się życie serjo, to, do którego się w czasie ziemskiego żywota przygotowywałeś.

Śmierć jest faktem, z którym się zgodzić musimy, jest koniecznością. Ale w chrześcijańskim poglądzie na świat jest ona czemś więcej niż końcem życia ludzkiego. Jest zarazem końcem i śmiercią już nieodwołalną i absolutną całego systemu wartości, z którym człowiek wiąże życie. Jest momentem zapadnięcia kurtyny, po którym zaczyna się nie akt drugi tej samej sztuki, ale nowa sztuka, nie mająca wspólnego z poprzednią. Wraz ze zgonem człowieka, a raczej z jego śmiercią fizyczną, ginie — z chrześcijańskiego stanowiska — to wszystko co stworzył, a co przekracza w istocie swojej byt indywidualny, co ma byt swoisty jako **objekt kultury**. Bo człowiek zna jakby dwie wieczności. Wieczność chrześcijańską, która wyczerpuje się w losie dusz indywidualnych po śmierci fizycznej — i drugą wieczność, ziemską, wieczność twórców kultury ludzkiej. To co człowiek stwarza w zakresie kultury ma życie trwające poprzez wieki i ożywające wciąż nanowo w pokoleniach ludzkich. Człowiekowi nie wystarczy stosunek tolerancji do tej wielkiej dziedziny twórczości. Chce, — jeśli tak powiedzieć można — aby zbawienia dostąpiły nietylko dusze jednostkowe, ale sama kultura. I tego pragnienia chrześcijaństwo nie zaspakaja. Między wiecznością ziemską a niebieską niema kontaktu, niebo ma w swojej ewidencji tylko moralną stronę człowieka, jego uczynki; oba łańcuchy nie splatają się z sobą. Człowiek idzie do nieba nagi, wyrwany z ciągłości historycznej ludzkości, a niebo bierze z niego tylko jego istotę moralną. Zbawienie osiąga człowiek **moralny**; człowiek kultury nie ma udziału w wieczności. Dla chrześcijaństwa ginie wraz z śmiercią fizyczną. Wieczność niebieska przechodzi do porządku nad wiecznością ziemską, która jednak trwa i żyje dalej, ale własną tylko mocą. Niema człowieka bardziej akulturalnego niż konsekwentny chrześcijanin. Kultura jest mu tak obojętna, że ją nawet — toleruje.

ZASŁUGA KATOLICYZMU

Ta podstawowa antynomia pomiędzy chrześcijaństwem a kulturą nurtuje ludzkość tak długo, jak istnieje chrześcijaństwo. Część ludzkości, która chrześcijaństwu uległa, wydała, kierując się nieomylnym instynktem samozachowawczym, taką formę tej religii, której dziejowemu przeznaczeniem było zła godzić tę antynomię i powrócić kulturze jej dawną godność. Tą najmniej eschatologiczną formą chrześcijaństwa — jest katolicyzm. Pomijam tu fakt, ile i jak świętych talentów wyliczylibyśmy wśród katolików, którzy przyczynili się znakomicie do rozwoju nauk, sztuki, literatury. Ten argument wydaje mi się niczestoty. Jeśli bowiem przyczynili się do rozkwitu kultury, to nie jako katolicy, ale jako ludzie talentu i wiedzy. Ważniejsze jest to, że sama doktryna katolicka i polityka kościelna łagodziły przez wieki tę tragiczną antynomię. Nie mówiąc o rządach mecenasowskich papieży, w samej polityce kościoła widać usilną pracę nad zasypaniem przepaści, którą chrześcijaństwo wykopało pomiędzy kulturą a ludzkością, pomiędzy człowiekiem doczesnym a człowiekiem wiecznym. Katolicyzm i tylko katolicyzm ze wszystkich wyznań chrześcijańskich odsuwa wciąż moment eschatologiczny, propagując raczej zewnętrzny stosunek do wiary, rezerwując zgłębianie religii dla wybranych. Poglębienie wiary nie jest tradycją katolicką. Raczej umacnianie jej przez wyrabianie nałogów; kościół zawsze przestrzegał przed zbytnią skłonnością dociekań. Żądał od człowieka niewiele; z prawdziwym mistrzostwem umiał odwracać uwagę człowieka od spraw groźnych i ostatecznych; odsunął go nawet od ksiąg świętych. Kościół zawsze starał się podążać za rytmem życia, z nauką wchodził ostrożnie w układy, któreby ani jej ani jemu ujmy nie przyniosły; lubił uchodzić za protektora sztuk i nauk. Słowem, robił co tylko mógł, by tragiczne rozdarcie pomiędzy człowiekiem a chrześcijaństwem przed wzrokiem ludzkości zasłonić.

CHWILA DECYDUJĄCA

Ale dzisiaj właśnie nastąpiła chwila, kiedy katolicyzm, chcąc nie chcąc, musi wrócić do źródła, wejść w siebie, skierować wzrok na wewnątrz. Dziś trzeba wyraźnie stanąć po stronie zaświata. Zbyt wielki jest napór na kościół ze strony wojującego laicyzmu. Kultura znowu nie potrzebuje się chronić pod opiekuńcze skrzydło kościoła. Aby ratować swoją powagę, Kościół musi raz jeszcze pokazać światu swoją potęgę moralną. Nie może dziś zdobywać sobie laurów mecenasa, tę rolę spełnia już za niego państwo i społeczeństwo. Ale napór laicyzmu to mało. Silniejszy i groźniejszy jest napór kryzysu kulturalnego. To nie są chwile do negocjacji dyplomatycznych, do imania się półśrodków. Trzeba pokazać co się ma najlepszego, zagrać o najwyższą stawkę. Wśród nawałnicy dziejów utrzyma się nie ten, kto ma najpewniejsze i najtwardsze dno. A to dno w katolicyzmie — jest — jednak! — chrześcijańskie.

Katolicyzm musi nawrócić do swych źródeł. Musi mówić o pogłębianiu wiary, musi się stać bohaterem i eschatologiczny. Musi porwać — inaczej los jego byłby zagrożony. — Ale czyż nie jest to jednoznaczne z odwróceniem się od swej tradycyjnej roli medjatora pomiędzy światem kultury a światem chrześcijańskim?

W OBLICZU WIECZNOŚCI

„Albo będziemy świadkami wielkiego odrodzenia chrześcijańskiego, nie tylko wśród elity, lecz i w najszerszych masach, albo świat stanie się lupem komunistycznej negacji” (Berdajew).

Sens tego zdania jest ten: na eschatologię trzeba odpowiedzieć eschatologią. Eschatologię materialistycznej negacji może zwalczyć tylko eschatologią chrześcijańskiego spirytualizmu.

Nie przeczę, że napór komunizmu z jego materializmem i negacją uczuciowości stał się mimowoli czynnikiem wielkiego odrodzenia religijnego. Komunizm, nie chcąc tego, nacisnął sprężynę religijności tak silnie, że musi się ona gwałtownie odprężyć. To odprężenie może się wyrazić w wybuchu

jakiegos wielkiego ruchu religijnego. Ale my tu mówimy o odrodzeniu kultury.

Nie bylibyśmy ludźmi, gdybyśmy mieli uwierzyć, że owo odrodzenie chrześcijaństwa w jego najgłębszej emocjonalnej treści miało być długotrwałe. Konkurencja z komunizmem na dłuższą metę byłaby nie do zniesienia. Owo odrodzenie

chrześcijańskie opierałoby się wprawdzie na motywach głębokich i szlachetnych, ale wymagających specjalnej uprawy, które na powierzchni życia utrzymać się mogą tylko wielkimi napięciami entuzjazmu religijnego. Eschatologia komunistyczna miałaby przy całej swej brzydocie i ciężkości, dłuższy oddech. Wybiega bowiem w swych

celach ku rzeczom popularnie zrozumiałym, nie wymagającym dla utrzymania ich w świadomości ludzkiej specjalnego napięcia myśli i uczuć, ku rzeczom, odpowiadającym, w ich popularnym przedstawieniu, najprostszym instynktom i zdrowemu rozsądkowi.

RELIGJA KULTURY

Wszystko co się mówi o odrodzeniu świata przez odrodzenie chrześcijaństwa, zawiera jedno przemilczenie, które pragnęlibyśmy tu zdemaskować.

Poza wszystkimi historycznie znanymi religiami istnieje jedna nieznaną, ale którą wyznaje ludzkość: tą religią jest religia kultury.

Jeśli mówię „religia kultury”, to jak już rzekłem, nie mam na myśli jakiejś nowej religii, którą trzeba by stworzyć, lub której byłbym rzecznikiem. Ta religia jest, żyje, działa wśród nas i nigdy nas od zarania dziejów nie opuszczała całkowicie. Trzeba ją tylko odcyfrować, dopuścić do głosu.

Cała historia ludzkości jest niczem innym jak historią rozwoju tej najstarszej religii. Wiąż, która istnieje pomiędzy zdobyczami kultury przeszłości, teraźniejszości i przyszłości jest nieprzerwana, trwa wiecznie. Sięga za grób, ma swoją transcendencję. Gdyby w poczuciu człowieka kultura którą tworzy na ziemi była tylko epizodem do niczego nicobowiązującym, gdyby człowiek nie wierzył w absolutną wartość kultury, gdyby uważał ją za pozór, który wieczność zmienia bez reszty, wówczas życie jego wydawałoby mu się albo absolutnym nonsensem, albo ciężką pokutą, zadaną przez Niebo.

Religia kultury nie znosi, aby to co tworzy człowiek miało miejsce podrzędne, aby było tylko tolerowane, traktowane jako „godziwy” sposób spędzenia czasu między nicością i wiecznością. Ta tolerancja jest jej wroga. Człowiek chce czuć i wierzyć, że każda chwila którą przeżywa ma swoją wartość absolutną, że to co tworzy, ma życie wieczne. Kataklizm kosmiczny może jednego dnia zmieść wszystko, co człowiek zbudował, napisał, namalował i wyrzeźbił. Ale mimo to te twory żyć wiecznie będą jako emanacja ducha ludzkiego, która się raz w dziejach stała. Jedna wieczność nie znosi obok siebie innej konkurencyjnej wieczności. I dla tego wieczność chrześcijańska, wieczność dusz indywidualnych, zderzała się po wsze czasy z wiecznością twórczego ducha ludzkiego.

Religia kultury niema założyciela, daty jej powstania nie odnajdziemy w żadnym kalendarzu. Jej wiara, jej dogmaty żyją w człowieku. Jak ludzkość ludzkością, człowiek wyznawał ją zawsze. Wyznawał ją nawet wtedy, kiedy zdawało mu się, że ją zwalcza.

Jak każda religia, tak i religia kultury podlega schorzeniom, ma swoje herezje. Herezje, polegające na wyniesieniu jednego momentu z krzywdą innych i zakłóceniu harmonii całości. Taką herezją jest też bolszewizm rosyjski, będący wyniesieniem do godności absolutnej jednego z momentów kultury — sprawiedliwości społecznej. Ale religia kultury jest religią człowieka integralnego. Ma swoją teologię, nie są jej obce opuszczenie i bezradność człowieka, jego ufnosć w wyższy porządek rzeczy. Ale jej Bóg widzi w ludzkości nie sam tylko zbiór dusz indywidualnych, ale i ducha ludzkiego, powołanego do najwyższej nieśmiertelności.

Herezje w życiu religii, to zamroczenia w życiu indywidualnym. Aberacje, niezdolność widzenia całości, chęć rządzenia tą całością metodami dostosowanymi do węższego zakresu doświadczenia. Jedną z tych aberacji przeżywa ludzkość dzisiejsza w postaci bolszewizmu rosyjskiego. Powrócić ludzkości jej szeroki oddech, nie dopuścić by zginęła w potwornych fałdach szarej bolszewickiej czapy, można tylko, wzbudzając w niej normalny krwioobieg, powracając ją religii od której się oderwała, religii, którą wyznawała zawsze, o której mogła zapomnieć, której się mogła zaprzeczyć, ale z pod której władzy nigdy wyostać się nie zdoła. Trzeba wzbudzić w ludzkości ten akt samopoznania.

JAN LECHOŃ

PRZEMÓWIENIE

wy ogłoszone w Bibliotece Polskiej w Paryżu dnia 1. II. 34 na zebraniu powitalnym dla Kadena - Bandrowskiego

Panie Ambasadorze, Miły Gościu, Panie i Panowie!

Pan minister Pułaski gospodarz tego domu, zmuszony przez swe prace do pozostania w Warszawie zlecił mi zaszczyt zastąpienia go na dzisiejszym święcie i powitania Was w tych murach. Czyniąc zadość temu milemu obowiązкови, dziękuję Panu, Panie Ambasadorze za przybycie do Biblioteki, dziękuję Państwu wszystkim i witam Pana Miły Gościu, imieniem Biblioteki Polskiej wszystkich tu zgromadzonych. Słowo „zaszczyt”, które powiedziałem, jest zużyte w takich jak ta chwilach, oddaje ono jednak dobrze to, co teraz odczuwam i co gość nasz, w którego książkach wyrażone są wola, siła, zdolność i szczęście przejścia od niewoli do wolności, czuje napewno, że honory świętych przyjęć, serdeczność najlepszych pisarzy Francji nie jest to dla pisarza polskiego więcej niż poczucie, niż wzruszenie, że przemawia w tej oto sali. Cóż bowiem innego jest symbol niż jakieś blahe zdarzenie, rzecz niepozorna, coś napozór zwykłego, które każą nam myśleć o rzeczach wielkich i niezwykłych i czyż losy tego domu nie są doprawdy jakby wyobrażeniem naszego tułactwa, naszych tęsknot, naszej poezji, naszej wolności, czyż koleje zgromadzonych tu książek, które uszły niewoli i wróciły do wolnej Warszawy nie są owem małym zdarzeniem, w którym jakby wstydząc się same siebie, zamykają się całe piękno i wielkość naszego bohaterstwa i cud naszego wyzwolenia. I cóż z większą, z bardziej wzruszającą skromnością ale tem głośnieją, tem wymowniej mówi czem jest Mickiewicz niż owe nieznanne napozór kartki papieru, blahe przedmioty, pękłe wypłowiałych włosów, strzeżone w tym domu przez sto lat blisko i przez sto lat oglądane ze łzami. Kto wchodzi w ten dom tego wita doprawdy cała wspaniała, najszlachetniejsza, nie do pojęcia dla innych narodów i nie do pojęcia dla wielu dzisiejszych ludzi wspólna dola naszego narodu i naszej poezji. Pan, cenny nasz gościu jest znakomitym pisarzem nowej Polski, szczyści się Pan tem, że miał Pan graniczącą z okrucieństwem odwagę zejść do samego zięjącego zle wyziewy dna naszego życia, że szedł Pan po jego wybojach i wąwzowach i po zaułkach dusz, do których nieczęsto zstępowały koturny naszych poetów, Pan doprawdy przynosi nam prawdę, wielką część prawdy, o tem czem jest codzienność polskiego robotnika, co czuje, jak żyje zwykły człowiek w Polsce — my zaś chcemy tę prawdę wiedzieć, mamy odwagę ją wiedzieć i stąd Pana znaczenie, Pana siła i wdzięczność Pana czytelników. I dlatego trzeba by się może zapytać, czy to nie jest jakaś bezmyślność, jakieś ślepe zapatrzenie się w przeszłość, że przyjmujemy Pana właśnie w tym domu a nie w jakiejś izbie pracy czy fabrycznej hali. Pana, który pierwszy z pisarzy w niepodległej Polsce, odmierzył życiu codziennemu, życiu dzisiejszemu jego wagę i godność.

Ale Pan, który zna okopy na Polesiu, który miał to szczęście, że nosił kajet pisarza w tornistrze legionisty, który godził twarde

rytm swojej prozy z marszem piechoty, Pan właśnie wie jakie uludne są granice codzienności i że z twardej doli żołnierza w okopie urodziły się patos i potęga naszego życia i to tam właśnie w tym błocie okopu przeszła przed Panem Historia.

W izbach robotniczych, w szybach kopalni, w salach związków, w koszarach żołnierzy, wszędzie gdziekolwiek w Polsce wre praca, toczy się walka — tam rodzi się historia Polski.

Jest to owo życie, o które modlił się w „Wyzwoleniu” ostatni górny i patetyczny prorok naszej wolności i największy po Mickiewiczu jasnovidz naszej rzeczywistości: jest to owo życie jak gdzieindziej, życie poprostu.

I raz po raz krzyk utrudzonego człowieka, który rozbrzmiewał nieraz w Pana książkach niby głos najwyższej prawdy głuchnie w nich pochłonięty przez wicher zdarzeń, raz po raz przyzywa Pan prawdy przemijania wszystkiego na tym świecie, prawdy paru słów, kilku uczynków, które nas przeżyją, coraz bardziej ogarnia Pana myśl, aby cały nasz czas dzisiejszy przekazać późniejszym czasom. To ponad nędzą, upadkiem, cierpieniem, ponad krzywdą i zbrodnią wznosi się tajemniczy głos Historji.

I oto scena w najnowszej Pana powieści, scena, kiedy chłopski wódz w tej chwili już nie Mateusz Bigda ale jeden z kilkadziesiąt milionów tych nowych polaków, do których należy przyszła Polska wali pięścią w zastawiony rodowem srebrem stół lachowicki i poza wszelką rachubą polityki ryczy w jakimś chamskim jasnovidzeniu, aby wstać i pokłonić się przed przeszłością, — ta scena równa w piękności najświetniejszemu kartom naszej literatury jest też dalszym ciągiem jej związku z historją.

I oto dochodzimy do tego, czem jest ów krąg czarów, w którym zamknięty był Wyspiański i w którym stoimy my wszyscy i Pan, cały nasz naród i każdy naród. Nie jest to przeszłość ale jest to historia; jest to tajemniczy związek między przeszłością, tem co jest dzisiaj i przyszłością; bez tych czynów niema narodu i niema wielkiej literatury. Tragedją Wyspiańskiego było, że czuł on za naród, że chciał żyć historją ale historia była wtedy tylko przeszłością i, zabijając przeszłość, zabił Wyspiański wszystko co było jego własnym życiem.

Wyzwolenie, którego wraz z narodem doznała nasza literatura, nie jest to wolność od historii, ale wolność życia historją.

I Pan dobrze skorzystał z tej wolności.

I dlatego wydaje mi się, że w tej sali należą się Panu powitania nie tylko dla Pańskiej wysokiej godności akademickiej, nie tylko dla Pana świętego talentu, ale że te mury pełne historii są też właściwym miejscem powitania znakomitego pisarza, który zrozumiał właściwe historii znaczenie, dając nam potężne obrazy naszej rzeczywistości.

Witam też w nich Pana serdecznie imieniem Biblioteki Polskiej od siebie i od wszystkich tu zgromadzonych Pana czytelników.

W najbliższym czasie PION rozpocznie druk nieogłoszonego jeszcze w języku polskim dzieła

Conrada - Korzeniowskiego

ZWIERCIADŁO MORZA

W przekładzie ANIELI ZAGÓRSKIEJ

JAN DÜRR

DZIENNIK PODRÓŻY WYSPIAŃSKIEGO PO SZWAJCARJI I FRANCJI



Zürich

PRZEZ KRAJ WILHELMA TELLA.

Z Zürichu, jak wskazuje itinerarium, pojechał Wyspiański znowu nad Jezioro Czterech Kantonów, które widział w przejeździe na krótkim odcinku między Flüchen a Brunnen. Wrażenia z Lucerny opisał w listach do przyjaciół. Stąd odebrał od niego list 18 kwietnia Karol Stryjeński w Krakowie.

Kraśniński, zobaczywszy Lucernę, zapisał w swym Journalu z 1830 r.: „Boże miłosierdny, czyżem się spodziewał znaleźć to, co tu znalazłem!... Serce me zwiędło przedwczesnie. Służna do kara; zwarzyłem różę, która nie urodziła się po to, by zwiędnąć, lecz olśniewać i rozsyłać swe wonie na skrzydłach każdego wiewu niebieskiego.” Równie wielki zachwyt wzbudziła Lucerna — miasto, gdzie nawet niespokojny duch Ryszarda Wagnera doznał sześćdziesięciu ukojenia... i w Wyspiańskim.

Brzegi jeziora, widok na Pilatus nad Lucerną i na panoramę Alp berneńskich w dali — należą do największych atrakcyj Szwajcarii. W roku powstania listopadowego poznal tę część Szwajcarii Kraśniński. W roku 1834 wędrował tędy Słowacki; cały szlak jego podróży powtórzył (w dwa lata po podróży Wyspiańskiego) Stefan Zeromski. Wędrowkę wokół jeziora opisał Wyspiański w liście do Lucjana Rydla (z dnia 16 maja 1890 r.) Oto jego relacja z pobytu w kraju Wilhelma Tella:

— Wiem, że to było śliczne, precudne, takie tęczowe, jak marzenie, tak krótkie jak życie motyla, tak miłe, jak woń konwalji — i wiem, że to mi już zeszło z oczu, że gdzieś znikło, ale mi nie schodzi z myśli; że wszystko, co teraz widzę, na co teraz patrzę, widzę przez tamte błękitne barwy, tamtą woń drzew wiśniowych, tamten szum pluskającej fali nadbrzeżnej, tamtą zieloność kwiatnych łąk: że mi żal za tem wszystkim, za tym krajem, za tym słońcem, życiem, że nie wiem czemu dusza mi ulatuje za nim”.

Przypatrzywszy się mapie Vierwaldstättersee pomyślałem sobie, żeby to było bardzo poetycznie obejść go dokoła piechotą, wyznaczwszy sobie mniej więcej główną drogę, a z czasem i resztę zdać na przypadek. Takie się ma jakieś zaufanie do natury tamtejszej, że ani deszcz ani burza nie wydadają się tem, czem w istocie są, ale się na nie patrzy, jak na obrazy, i przysłuchuje się im, jak zmianom tonów w jakiejś wielkiej, potężnej orkiestrze. Gdzieś siedzi, to mi się zdawało, że patrzę na dekorację z Wilhelma Tella. Oglądałem się, czy gdzie Gessler jako nie wywiesił swego kapelusza i nie każe mi się kłaniać, i czy nie usłyszę śpiewu jakiego rybaka, kołyszącego się w łódce na „błękitnie jeziora”.

Z Lucerny wychodząc idzie się wciąż samym prawie brzegiem jeziora, czystego, niezamącanego, o zwierciadlanej powierzchni, porysowanej tylko perlismami liniami umykających statków (przepełnionych pasażerami). Z brzegu chylą się ku falom tłumy trzciny wodnych, wiotkich i bijących nieustannie pokłony wspaniale sterczącym szczytom gór na brzegu przeciwnym.

*) Pierwsza część artykułu w nr. 24 „Pionu”.

Szerokie płaty zielonej murawy obejmują jezioro, które wydaje się jakby olbrzymim bukietem z niezapominajek, a te postrzępione sylwety śnieżnych gór, jakby jego ozdobną mankieta.

Sylwety gór zmieniają się coraz: z początku samej drogi dominuje po jednej stronie za Lucerną szczyt Pilatus, nieustannie jakimś obłokiem osłaniany, po drugiej koło przez pół czarny przez pół biały śniegiem: Rigi, najbardziej przez podróżnych i ciekawych zwiedzany; stąd kolej prowadzi aż pod szczyt prawie i cały ruch parowców w tę stronę skierowany.

Między tymi dwoma wysterczającymi najwyżej głowicami olbrzymów, snuje się całe i coraz inaczej planowane pasmo mniejszych, a ich postrzępione czoła, lśniące blaskiem promieni słonecznych i białe śnieżnymi pokrywami, osuwają się ciemnymi płytami ku jezioru i giną w jego głębi. Szkląca woda jak wąż zwinnie przewija się wśród tak ugrupowanych skał, przez co dalekie otwiera perspektywy.

Wzdłuż samej drogi wciąż napotyka się na dworki z pensjami i zakładami dla dzieci, hotelami, z których każdy nazywa się Belle vue, stacjami parowców, restauracjami.

Pierwsza taka w Seeburg — bardzo jeszcze blisko Lucerny, i całą też ją widać w oddali, jakby wstającą z piany morskiej Venus... tak się kąpie w słońcu białością swoich domostw, tak śmiało i odrazu strzela w górę iglastymi wieżycami kościoła, i temi, co zostały na dawnych murach miejskich.

Ponad tem wszystkim góruje dumny Pilatus w białej czapce ze śniegu (jak na sztychu Dürera) a dokoła głowy wirują mu ciemne chmurki, jakby mu chciały szeptać wyrzuty sumienia.

Nad brzegiem jeziora, idąc wciąż tą drogą, napotykasz i przechodzisz koło gospodarstw, zabudowań, szop, chałup, dworków, ogrodów, sadów. A wszystko to schludne, czystutkie i tak malownicze w tym słońcu i z tym spokojem czarownym, że chciałoby się tam wiecznie wśród nich siedzieć, patrzeć na tę spokojną ich pracę, pogodną twarz, śmiejącą buziaki dzieciaków, co ci otoczają i chętnie bawią się z tobą. I gdy pomyślisz, że mógłby kto tę ciszę zakłócić, zamącić ten spokój, to cię przejmuje dreszcz, i wolaż przekleństwo Gesslerom wszelkich czasów i pojęć.

W Weggis, które jest rodzajem regularniejszej wioski, rozsunionej wzdłuż drogi — gdzie mały kościółek z charakterystyczną szwajcarską wieżyczką barokową — już się poczyna panorama zmieniać, już droga skręcała w bok. Lucerna znikła już dawno, teraz widzi się tylko najszerze w tem miejscu jezioro i olbrzymią, ciemną plamę Rigi, która zasłania widok. Przechodzi się koło jakiejś fabryki, czy czegoś — bo widziałem na szerokiej pustej łące, będącej w znacznej części moczarem, jakiś rodzaj młyna na kołach, gdzie masę ludzi było zajętych różnymi czynnościami: kręcono jakąś maszynę parową, może osuszano pole. Ta praca tej masy ludzi na szerokim, czarnym placu ziemi, skoncentrowana dokoła jakiejś syczącej i buchającej kłębam dymu czarnego maszyn, w tem pełnym oświetleniu pięknego słońca, wydała mi się bardzo naturalnym i pięknym obrazem nowożytnym. Chciałbym się z nim spotkać gdzie na wystawie; świadczyłby o trzeźwości pojęć artysty.

Dalej wciąż droga coraz piękniejsza, coraz więcej barw, a mniej dalekich pejzażów; bo idąc brzegiem jeziora, schodzi się w dolinę zamkniętą górami, a od brzegu przeciwnego odstercza ciemna plama Rigi, spływającego lekkimi, krzewiastymi wzgórzami daleko w jezioro.

Nadbrzeżne murawy pełne kwiecica, tak miłe i tak pociągające, że przychodzi ochota rzucić się na ziemię, do tych kwiatów niewyszukanych, nie róż, ale rumianku, jaśków, mleczków, o dziwnie czystych i jasnych barwach — i chciałoby się tak leżeć wśród nich, patrząc na jezioro lśniące się blade, niebieskawą, raczej srebrną barwą, na ciemny fiolet wzgórz, na drzewa białe i różowe od kwiecica — słuchając ciągle nieustannego brzęku dzwonek trzód, które „przyszły na łąkach dzwonić”. A każdy dzwonek ma inny głos — ciągle brzęczą — jeden ton wpada w drugi i jak melodia łączy się z melodią — ton, przypominający chórowe śpiewy wiejskich muzyków. Tak to piękne dla uszu do odczucia, że chyba to dzieci Lucci della Robbia musiały śpiewać tak samo miłe, tak harmonijnie i tak swywołnie, jak ten brzęk dźwięków, rozlewających się wśród czarującej natury, wśród tylu barw, Ein Klängen, wie Flöten so süß, wie Stimmen der Engel im Paradies, staje się zupełną prawdą. Nie chciałoby się odejść stamtąd; przychodzi na myśl, że już nic piękniejszego nie można nigdzie zobaczyć, nigdzie już odczuć większego spokoju, że jeżeli wstaniesz i pójdziesz dalej, to stracisz szczęście — i całą rozkosz snu.

I zacząłem przyglądać się dokoła szczytom pejzażu — i różnym rzeczom rodzajowym, jakby można powiedzieć, bo wszystko wydaje się obrazem: jak pastuchy dwa na pół ubrane gonili się z krową nad brzegiem; jakaś kobieta, wcale przystojna, tęga, rumiana, idzie po wodę i przegina się na pełnych biodrach, niosąc ciężkie naczynie; dwoje dzieci schodzi się bawić do ogródka, szepczą sobie jakąś tajemnicę, chichoczą głośno; zdala słychać gwizd, szum: to parowiec przepływa w głębi po jeziorze, pruje czystą pokrywę zwierciadlaną i „zostawia za sobą jasność szafirowym szlakiem”.

Ha! Trzeba iść dalej — a więc lebet wohl ihr wonnigen Weiden.

Tyle doznałem szczęścia w tej chwili ciszey, że ono równały się mogło rozkoszy, jaką miłość przynieść może... Musiałem je porzucić... nie chciałbym, abym się tak kiedy musiał wyrzec miłości... lepiej umrzeć przedtem...

Przechodziłem właśnie koło jakiegoś cmentarzyska, skromniutkiego, cichego, pełnego jednostajnie poustawianych i jednostajnie szarych kamieni z napisami. Groby małe, dziecięce. Oni tak pomarli, jakby im tego życzył ów starzec z Dziadów — umarli młodzi... — Wrażenie budziło we mnie kontrastowe uczucie: dalej do życia — dla mnie te barwy — dla mnie to słońce złote.

Tak dochodzi się do Küssnacht, położonego na krańcu zwięzającego się coraz bardziej jeziora. Widać go już zdala: nieduże miasteczko, tak blisko brzegu, że się aż nurza we wodzie. Wiele fabryk, które turkotem, hałasem i kominami już zdaleka dają znać o sobie; widać zaraz lud pracowity, przemysłowy. W miarę jak się wchodzi w miasteczko, widok coraz więcej malowniczy, rozległością perspektywy — punktem widzenia, jak chce hrabia, która pozwalała od Küssnacht sięgnąć okiem w prostej linii aż do siniejącego w dali wybrzeża Alpnach, na przeciwnym dalekim brzegu — bo aż na drugim ramieniu krzyża owego, do którego Szwajcarzy chcą, żeby ich jezioro Czterech kantorów było podobne.

Wypadło mi wstąpić do jakiej Wirtschaft; wchodzę do domku pierwszego lepszego, zbiega ktoś po schodach, i w ciemnej sieni staje nagle przedemną. Dziewczyna piękna, jak Bertha, i tak typowa, jak Bertha, i tak rzutna, jak Bertha. — „I ja ach nie wiem, co się ze mną stało”, że chciałbym ją być całować, zamiast pytać: ob's hier eine Wirtschaft ist?

Miała figurkę zgrabną, opiętą czarnym gorsetem, z za którego widniała białość marszczonej koszuli; spódniczkę szarą, krótką, że widać było pończoszkę i nóżkę pełną. Ach, jak milutko wyglądała — szatynka uczesana wgórze, przewiązana jakąś wstęgą — brwi miała zmarszczone lekko, silne — ował twarzy, jak ta dziewczyna Kulmbacha z Muzeum narodowego a oczy... Nie umiem opowiedzieć, wiem tylko, że się jej o wszystko pytałem po kilka razy — jak się idzie do Immensee, chociaż miałem mapę. Opowiedziała mi... jeszcze mi było nie dosyć, prosiłem, żeby mi pokazała przez okno... powiedziała, że okna wychodzą w inną stronę — a w istocie, musiałem uważać, żeby się nie ośmieszyć... Przyszedł czas, że trzeba było pójść sobie — gdzie? — Wysyłamy często



Axenstrasse

tych, na których się gniewamy do diabła — mnie się zdało w tej chwili, że mi każą iść do diabła.

Rzeczywiście dziwna rzecz: marzy się zawsze o jakiejś pięknej nieznajomej, o jakimś pierwszym spotkaniu, o spojrzeniu, z którego jednego rzutu odgaduje się całą duszę drogiej istoty, i ma się wrażenie, jakby się ją znało już dawno, z innego świata, zdaje ci się, że ty jej masz dużo do powiedzenia — i przychodzi to wrażenie pogodzić myślą, że ona jest ci zupełnie obcą i musi pozostać obcą...

Takie Küssnacht, to wcale przyzwoite miasteczko, choć wiele mniejsze od niejednej naszej wioski. Są wcale ponętne sklepy i magazyn z modnymi kapelusami dla kobiet i całe garnitury strojów na manekinach wystawione, i cukiernia z różnymi frykasami — wszystko to w miniaturowym zakroju wygląda przez pół śmiesznie. Ale tak jest — można się tam ustroić po modnemu.

Przeszedłszy miasteczko, mija się ogrody, ciągnące się wzdłuż drogi. I otóż droga zatytułowana: Tells hohle Gasse.

Idziesz tą drogą ciekawo, oczekujący Bóg wie jakich zakątków i zarośli — czyhający na wrażenie, jakiego doznasz; przyrzekasz sobie, że wśród największego jaru powiesz sobie i powtórzysz za Tellem: durch diese hohle Gasse muss er gehen; robisz odpowiednią minę. Jakoś nic... Idzie się wprawdzie pod górę i u stóp prawie Rigi, ale z tej drogi, którą idziesz, widok na lewo otwarty i daleki; po przez drzewa wprawdzie, ale widać dolinę zieloną i pełną łąk, poprzerynaną licznymi ścieżkami. Może tamtędy gdzie zbliżało się to wesele, które Schiller wprowadza do swego dramatu...

Twoja droga zwięza się co prawda, staje się na chwilę zacieśnioną, ile że drzewa obu jej stron wiążą się w górze konarami. Ale po przez nie jeszcze dobrze przyświeca słońce. Do grozy jeszcze daleko...

Tuż przy drodze widzisz jakąś kaplicę, małą, otoczoną balaskami, pokrytą wewnątrz lichymi freskami z XVIII wieku. To kaplica Tella z napisem o śmierci Gesslera i wydobyciu się na wolność ludu. Dokoła otoczona drzewami wysokimi, daje prześliczny widok na okolicę, łąki, pola, wzgórz, gdy się stanie na stopniach, co do niej wiodą.

Naprzeciw drzwi ławeczka w cieniu brzoź, gdzie można siedzieć i wspominać sobie Tella. Cały dramat przyjdzie ci żywo na pamięć...

Ale dziś tam już spokój, cisza — tylko złote słońce ubiera kaplicę i rzuca długie smugi od drzew w poprzek drogi.

Do grozy daleko...

Była tu zdaje się groza chwili. Ten lotr powinien być umrzeć właśnie w taką pogodę spokojną, w taki dzień wesoły, słoneczny, wśród dźwięków hucznego wesela, żeby wiedział, że życie i szczęście dla wszystkich, tylko nie dla niego.

Potrzebował Schiller tych figur wszystkich i tylu figur w tej scenie dramatu; ale na miejscu będąc odbiera się to samo wrażenie.

Bo naturalnie, że w rzeczywistości było zupełnie inaczej. Tell, czekający Gesslera nie potrzebował słyszeć płaczu i jęków kobiety, żeby przyspieszyć i wytrwać w swoim zamiarze; Gessler nie byłby się wahał jednej chwili przejechać obok niej, nie zwracając na jej krzyk uwagi.

Ale tu chodziło o widza i zawsze o widza. Stąd scena śmierci — i chwila na tem traci, jeżeli chodzi o naturalność, ale **tableau** jest prześliczne; alegoryzm historyczny, obraz w rodzaju Kaulbacha, ekspresja Delacroix. Jakżeż inaczej takie sceny maluje Szekspir. Ale na to trzeba było być aktorem, jak on, żeby tak i tylko to odczuwać, co jest naturą.

Jakiś stary Szwajcar surdutowy przyszedł dumać w to ustronie i siadł na ławce pod kapliczką...

Poszedłem dalej.

Do Immensee, miasteczka czy wioski, leżącej już nad jeziorem Zugskim schodzi się ku wiosce w dół. Widać już zdaleka jezioro, a raczej jego jedną odnogę. Już nie tak czyste i barwne jak Vierwaldstätter, tylko szare, jakos dziko lśniące. Gdy się idzie wybrzeżem, a droga prowadzi nad samą wodą, chłód od niego jakiś przejmujący wieje; widzi się wysoki brzeg przeciwny, legły, szarozielony z górą Rossberg w głębi, jakieś dwa skaliste szczyty; nad brzegami fale, płynące dosyć wartko, tłoczą się i rozpryskują o gromady skał i kamieni. Stąd nieustanny szum i łoskot. Jeśli istnieją nimfy i strzygi wodne, to tam ich siedlisko — a przynajmniej siedząc nad brzegiem na jednym z takich odłamów kamiennych, patrząc na ponurość i szarość pejzażu, słuchając rozprysku i pienienia się tych fal, zaczyna się wierzyć w wilkolaki... Tak dochodzi się aż do Arth, t. j. do szczytu jeziora, skąd widok daleki na Lugerssee, bo widać go stąd więcej i głębiej. Ale to wszystko już niema tych barw, jakie ma jezioro Czterech kantonów.

Arth znowu w dolinie, nad jakąś rzeczką, wpływającą w jezioro rozłożone szeroko. I chcąc iść dalej wychodzi się pod górę, gdzie droga wśród rozrzuconych kup kamieni, skał odłamów, poczynających się lasów na Rigi.

Droga prześliczna, przypominająca nasze Panięskie Skąły, tylko że jeśli widok się otworzy, to daleki na szklaną powierzchnię jeziora, na murawy nadbrzeżne moczary.

Zbliżałem się do Lowerz.

Więc znowu nowe jezioro: małe, małe, nie nawet w porównaniu z tamtem, ciemnym płatem rozlane wśród moczarów zielonych trzciny i szuwarami — w głębi już zdawa widzi się jakieś miasteczko, bielejące słabo przy końcu jeziora.

To Seewen. Po za nim wybiegły wysoko w górę dwa skaliste, strome szczyty, sterzące, poszarpane i nagie.

W Lowerz wstąpiłem do Gasthausu. Cztery wcale mile Szwajcarki, każda odmienna w typie. Wybór byłby trudny. Żeby się odróżnić od mytu, wybrałbym chyba tę czwartą. Ej, bo też to była ta czwarta hultaj Szwajcarka.

Ale trzeba było iść dalej. Wybiegłem z gospody — i otóż nowe cuda...

Słońce, co schowane za mgłą chmur, kryło się ze swoim talentem kolorystycznym i zostawiało wszystko w szarym, zielonawym tonie, naraz zachodząc „jeszcze ostatni krąg światła zatoczyło” i przy tym blasku ujrzałem owe dwa skaliste szczyty, ubarwione całe na purpurowo pomarańczowy kolor, co przy szarem otoczeniu świetny sprawiało efekt.

Idąc tak wzdłuż małego tego jeziora Lowerz, widziałem piękny zachód słońca a raczej zachód wieczornej zorzy lodowej, jak topiła się za czarnym pasem grobli w jeziorze Zugskim.

Cała ta część jeziora wydała się też krwawa z powodu odbicia; tylko ta ciemna wstęga markowała się na tle luno jasnej i kryła zachodzące słońce, jak przepaska czarna plamę krwawą na czole Balladyny.

Pod wieczór coraz to chłodniej. Zasuwaly się mgły nad jeziorem i wśród tych mglistych smug, w ostatnich odbłyśkach czerwonej zorzy, przy chłodzie, co kołysał zlekka drzewa, zobaczyłem dwie wyspy na środku jeziora, pełne krzewów i drzew do kofa jakiejs świętyńki. Obrosłe sitowiem i

szuwarem, kołysanym powiewem wieczornego wiatru, zdaly się być siedliskiem tych nimf...

Przy brzegu porzucona łódź płynęła sama, pusta po jeziorze... Może rybak wpadł w ręce złotowłosych najad, dał się zwabić białym ich ramionem i teraz wbity w dno jeziora żre piasek...

Droga prowadzi samutkiem brzegiem jeziora, a stromo tuż nad nią wzbijają się w górę skały nagie, wysoko piętrząc się kablakiem ponad drogą. Poczyna się na dobre ściemniać. Niewiele już można rozróżnić dokoła; słychać tylko wciąż jednostajne pluskotanie wody o brzegi — w dali błyskotaly światełka z Seewen — pejzaż nabiera grozy, ponurości — jakiś jeździec w pełnym galopie przeleciał tuż obok mnie...



Lucerna

Wszystko przemawia do wyobraźni zdwojonym kształtem — roją się widma — poczęłem biec ku wsi...

Za pół godziny byłem już w hotelisku czy gospodzie bardzo szykowanej, gdzie do stałem mały pokój.

Zanocowałem w Seewen.

Nazajutrz rano wyjrzałem przez okno ujrzałem się w środku wioski, domostwami, ogrodami otoczonej. Drzewa okwiecone przyszły zaglądać aż do mych okien; wioskę otaczały góry; z przodu Rigi zasłaniał widok i tylko wąski pas jeziora widniał z daleka bladą plamą świecąca. Wśród zieleni bujnej sadów, świego tu ptaków, wrzawy ludzi pracujących — jednym słowem wolałbyś „stój czasie” jak Faust... Szkoda, że nie mogłem sobie nawet wyzbrać pół dnia dłużej. Musiałem iść dalej. Szedłem do Schwyz.

A więc do tego Schwyz, gdzie się zaczyna pierwsza scena z Tella, gdzie się rozgrywał cały ten dramat w rzeczywistości...

Nie umiem ci tej przyjemności opowiedzieć, z jaką się tam zbliżałem. I w istocie położenie prześliczne: wioska obstawiona dokoła lasami i górami, wśród których dominują dwa owe strome nagie szczyty (Klein Mythen i Gross Mythen) i śniegiem kryte wierzchołki skał, z przeciwległego aż widne brzegu, rozrzucone wśród zielonej, pełnej łąk doliny. Liczne strumienie poprzeczowały dolinę w różnych kierunkach, dodając rozmaitości pejzażowi. Zboczyłem niedługo ku jezioru idąc do Brunnen.

Spotyka się po drodze roślących, tęgich chłopów. Co młody, to przystojny, a w ubraniu ich zawsze charakterystyczny ową kapturek na ramieniu, przy szerokiej krótkiej bluzie, sięgającej zaledwie pasa.

Słońce przypiekało oraz; zbliżało się po ludnie; doszedłem tak do Brunnen.

Znowu taka sama wioska, jak wiele innych, tylko że większa znacznie i obszerniejsza. Widoczny większy ruch parowców i kolejowy. Po drodze przyglądałem się bu dowli jakiejs kaplicy w gotyckim stylu, którą ukończono. Wyglądałaby wcale nieźle, tylko że obok połączono ją z domem zupełnie świeckiego charakteru, a niemającym w sobie nic poważnego. Stąd wiadomo zdaleka, co to wszystko razem ma być. Ludzi wiele dokoła zajętych pracą, zwożeniem i układaniem kamieni.

Przeszedłszy przez wąskie uliczki miasteczka, dostajesz się nad brzeg na mały placyk przystani łodzi i parowców i jesteś znowu nad jeziorem Czterech Kantonów. Przekonujesz się o tem, rzuciwszy okiem na

otoczenie. Tyle barw tak żywych, że prawie tęczy, tak czystych, że oko im się natrzeć nie może, bo są dla niego nowością.

...I to wszystko płывa w słońcu i śmieje się i cieszy życiem...

Pejzażyści! — wy co nas karmicie zła manami barwami, co w szarych tonacjach i brudnych światłach każecie się nam dopatrywać natury — i nie dajecie nam nic więcej, tylko to, na co codzień patrzymy, ten widok, od którego przy pracy będąc okada odwracać nie możemy — czemu dręczycie nas naszą nędzą bezbarwności i szarości, a nie dacie nam nic z tego piękna nieskałanego, natury spokojnej, szczęśliwej, żyjącej życiem zdrowym, gdzie brukiem murawa zielona, strojona wzorzystymi kwiatami, stropem błękit, tkany niezmordowaną dło-

HOLBEIN I BÖCKLIN

Z Lucerny pojechał Wyspiański do Berna, stolicy Szwajcarii, a z Berna do Bazylei. W wywiadzie, udzielonym F. Hoesickowi w r. 1899, oświadczył artysta: „Z miast szwajcarskich, które zwiedziłem w tej podróży, najwięcej wrażeń dała mi Bazylea, gdzie po raz pierwszy zapoznałem się z oryginalnymi Böcklina i Holbeina”.

Oprócz malarstwa uwagę artysty zajęła w Bazylei piękna, pięcionawowa katedra z r. 1185, wznosząca swoje dwie wieże ślicznie nad Renem. W dzienniku artysty znajduje się rysunek empor katedry (datowany 24-go kwietnia 1890 r.), które zajęły go ze względu na system lombardzki, studjowany nie dawno w północnych Włoszech.

Studja nad malarstwem niemieckim, rozpoczęte w Krakowie od Dürera (jeszcze tylko według reprodukcji) i od jego ucznia, Kulmbacka (obrazy oryginalne w kościele N. Panny Marii) rozszerzył Wyspiański w muzeum bazylejskim. W poprzednim roku (1888/9) słuchał na Uniwersytecie Jagiellońskim wykładów prof. M. Sokolowskiego: Dürer i Holbein i studjował dzieło A. Woltmanna: Holbein und seine Zeit (Lipsk 1866). Jako wielbiciel Dürera, marzył o poznaniu również tego, na przeciwnym krańcu stojącego boga malarstwa niemieckiego — Holbeina młodszego.

I wysunął go na pierwsze miejsce. W studjum o Hamlecie napisał przecież (str. 8): „A Szekspir był artystą, zupełnie takim jak Holbein, Dürer, Breughel, Teniers, Hals”. „Ludzie inteligentni, którzy jak Holbein, czytając w obliczu, w żywych ludziach i piszą to w obrazie” (str. 23).

„Była to już epoka, gdzie oddawna wysoko niezmiernie stał portret i portretu rysunek, gdzie już przesunął się Holbein, co umiał tak pisać charakter i wypisał w portrecie Heryka VIII-go i osobistości z jego otoczenia” (str. 39).

Trzydzieści kilka obrazów Holbeina (między innymi: portrety burmistrza Meyera i jego żony, Bonifacego Amerbacha, Erazma z Rotterdamu, autoportrety, obrazy Adam i Ewa, „Lais Corinthiaca”, zwłoki Chrystusa) stanowi w muzeum jedyną w swoim rodzaju kolekcję. Oglądając (już w drodze powrotnej do kraju) w Ulm witraże katedry, wspomniawszy Wyspiański w liście do Stryjeńskiego: „Szyby mi się nie podobają, gdyby one choć były takie, jak Holbeina projekta w Basel w muzeum; ale to, co tu jest, cliche, nudne, a w barwach monotonne i przesadne”.

Obok Holbeina młodszego — drugi jeszcze malarz rodem z Bazylei wywołal u Wyspiańskiego największe wrażenie, mieszkaniec podówczas w Zurychu (może go polski artysta spotkał gdzieś, w czasie swego tam pobytu?) — Arnold Böcklin. Poszedł zapewne Wyspiański oglądać freski jego w Sarasinsche Gartenhaus oraz w klatce schodowej muzeum. Przesztydował zapewne dokładniej w muzeum obrazy: spoczywającego bożka Pana, Magdaleny nad zwłokami Chrystusa, walkę Centaurów, Święty Gaj, Zabawy Najad i Trzy wieki życia.

Jak oceniano Böcklina wówczas, gdy Wyspiański po raz pierwszy dźwięka jego zobaczył, świadectwem może być Stan. Witkiewicz (Sztuka i krytyka u nas, Kraków 1891, str. 286-7): „Jednym z największych, a może największym kolorystą, jaki istniał, jest Szwajcar Arnold Böcklin. Jego obrazy przedstawiają naturę, wziętą pod względem barwy w najwyższej, na jaką stać malarstwo skali. Wszystkie barwy lokalne są przetransponowane na najświetniejsze tony i ustosunkowane z tak bezprzykładną harmonią, że farba absolutnie przetopiona jest na powietrze, słońce, niebo, wodę, że przy całej różnicy, jaka leży między jego bajecznym światem i rzeczywistością, złudzenie prawdy jest zupełne”.

Böcklin wpłynął nietylko na formę prac Wyspiańskiego, ile na ukształtowanie się jego postawy malarzkiej, artystycznej. Wyspiański cenił Böcklina, chociaż przeszedł przez wpływ Paryża i poznał sztukę francuską (od której malarstwo Böcklina było tak niezależne) — ponieważ szukał w sztuce kompozycji oraz stylu. Pociągało również Wyspiańskiego i to, że w malarstwie Böcklina odżyły twory fantastyczne wielkich mistrzów niemieckich 15 i 16 wieku — owe siatry, jednorożce, dziwy morza.

Obrazy Wyspiańskiego: Skarby Sezamu, Moczary, Zamki na lodzie, projekt kurtyny dla teatru krakowskiego, panneau dekoracyjne z Paonu (kawiarni), akt II Legendy, w którym występuje „pół chłop, pół ryba” Rusał i Wilkolak — powstały pod wyraźnym wpływem Böcklina.

Z Bazylei przez Miluzę pojechał Wyspiański do Paryża. W czasie drogi zatrzymał się może w Nogent sur Seine, tę bowiem miejscowość zapisał w swym dzienniku (str. 18) dodając wyraz: katedra. Katedry francuskie to najbliższy cel jego podróży.

Nakładem „Drogi” ukazało się drugie wydanie książki

ADAMA SKWARCZYŃSKIEGO

MYŚLI
O NOWEJ POLSCE

Cena zł. 4.—

(Dla Prenumeratorów „Drogi” zł. 2.50)

KAZIMIERZ
WYKA

O OCENIE MYŚLI BRZOWOWSKIEGO

Chciałbym skorzystać ze słów p. Suchodolskiego, że przedyskutowanie poruszonych przez niego zagadnień („Jak ujmować i oceniać myśl Brzozowskiego”, Pion, Nr. 6) mogłoby pogłębić nasz stosunek intelektualny do St. Brzozowskiego. Chciałbym wyjaśnić pewne punkty, które w recenzji nie wyszły dostatecznie wyraźnie, co sprawia, że odpowiedź p. Suchodolskiego częściowo mijają się z temi zarzutami, będącymi zarazem poglądami na Brzozowskiego, z zarzutami, jakie mimo niej wydają mi się nieodparte. Ale to już moja wina, że nie zostały one sformułowane, jak należało.

Dotyczy to głównie kwestji, czy ideologia wyjaśnia psychologię pisarza, myśliciela, czy też, przeciwnie, klucza do ideologii należy szukać w jego psychice. Odlóżmy tę sprawę na bok. Trudno bowiem o niej dyskutować, skoro jedna z przesłanek, jeśli chodzi o Brzozowskiego, jest w znacznej mierze, niewiadoma.

Spróbujmy stanąć na stanowisku p. Suchodolskiego i uznać jego słuszność metodyczną, że naprawdę wystarczy nam skrupulatny opis gotowego już tworu myślowego, bo szukanie korzeni genetycznych przyczynia się jedynie do dokładniejszego zrozumienia, dlaczego temi a nie innymi drogami myśl szła, a nie czem jako coś gotowego myśl ta jest. Ze zatem do pełnego zrozumienia zamkniętego już świata idei pisarza wcale nie pomaga nam traktowanie ich jako wyrazu określonej osobowości, i że tak rzeczywiście — co, zaznaczam, w tym konkretnym wypadku wydaje mi się niestosowne — jest z Brzozowskim. Ale nawet na tem stanowisku stojąc nie musi się dojść do wyników, jakie w swej książce p. Suchodolski przedstawił, nie musi się dojść do jego własnie opisu idei Brzozowskiego.

Trzon kwestji spoczywa w pytaniu, czy intelektualistyczna interpretacja myśli Brzozowskiego może nam dać jej prawdę, interpretacja, w której celowo zostawiamy na boku jego psychikę. Odpowiem — tak. Ale intelektualistyczna interpretacja nie znaczy, by dzieło Brzozowskiego zintelektualizować, by wyprać je z nierozłącznego z niem zabarwienia uczuciowego.

Sądząc po wielu analizach tekstów Brzozowskiego w książce p. Suchodolskiego, obawiam się, że intelektualistyczna interpretacja, to u niego oznacza. Uważam zaś, że można ujmować pisma Brzozowskiego, bez chęci uczuciowego podania się im, tylko by je poznać intelektualnie i przedstawić, a jednak ich pozaintelektualna zawartość, charakterystyczna dla nich, bezwzględnie się narzuci. I właśnie lojalność wobec przedmiotu, właśnie „pokora badawcza”, każe to uznać... Nie będzie to również zadaniem sprzeciwieniem się raz przyjętej intelektualistycznej zasadzie interpretacyjnej, jeśli o tej zawartości pamiętać się będzie. Będzie to jedynie lojalna zgoda na przekraczające sam punkt wyjścia konsekwencje.

By sprawę sprecyzować, chciałbym się posłużyć rozróżnieniem, które przy ocenie Brzozowskiego może być bardzo przydatne. Uczynił je Benda w swej pierwszej książce o Bergsonie („Le bergsonisme ou une philosophie de la mobilité”), powiadając, iż istnieją twórcy idei i twórcy **wzruszeń** (émotions) filozoficznych. Ideą filozoficzną zwie Benda wyrażenie stosunku między terminami filozoficznymi. Wzruszenie jednak określa zbyt ciasno, powiadając że jest to wzruszenie jakie wywołuje myśl o bardzo ogólnych zjawiskach. Ideą spośród podawanych przez Bendę przykładów będzie na przykład zdanie Kanta: „Przestrzeń jest warunkiem możliwości zjawisk, a nie jest wcale pojęciem empirycznym, wyprowadzonym z poprzednio danych doświadczeń”, — wzruszeniem zaś filozoficznym słynne słowa Pascala: „Wieczyste milczenie tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie”. Również terenem silnych wzruszeń filozoficznych być może i bywa poezja odpowiedniego typu.

Konsekwencje rozróżnienia? Odmienne, jak u Bendi, ale oto mniejsza. — Sądzę, że nie idzie, o targowanie się, kto ma mieć pierwszeństwo. Idzie jedynie o uznanie obydwu typów myślicieli i nieocenianie jednego typu sposobami, urobionymi na drugim. Nie idzie o powiadanie, że wzruszenia filozoficz-

ne danego poety są jako idee mętne i degradowanie go z tej racji, bo gdy te idee poczną się zbyt klarować, będziemy mieli „poezję” filozoficzną Asnyka.

Należy się jeszcze umówić, co rozumiem przez wzruszenie filozoficzne, jeśli nie wystarczy określić go tak, jak czyni to Benda. Idea filozoficzna, ściśle wyrażona, przemawia tylko do intelektu, każe się oceniać jedynie spójnością i logiką wewnętrzną składających ją członów. Przecieka przez nią jak przez sito, reszta pełnej osobowości człowieka, wszystko co w nim jest pozaintelektualne, wzruszeniowe. Wzruszenie filozoficzne natomiast, wychodząc ze stanowiska idei, natychmiast je przekracza i atakuje całą osobowość człowieka. Człowieka pełnego, jego dążenia etyczne i praktyczne, chęć realizacji, jego uczucia bezinteresowne. Osobowość osiada się na niem, miast przecieć i zniknąć. Jeśli zaś w dodatku wzruszenia takie przemieszane są z niewątpliwymi ideami filozoficznymi, choćby ich było mało, jeśli zatem dana ideologia absorbuje tak sam intelekt, jak strony wzruszeniowe i etyczne, wówczas tem bardziej musi się pamiętać o precyzji i dostosowaniu do przedmiotu miar, jakimi będziemy ją oceniać.

Stosując tak ułożone rozróżnienie do Brzozowskiego, widzimy, iż mamy do czynienia prawie wyłącznie z wielkim twórcą wzruszeń filozoficznych. Kiedy Brzozowski powiada, że dopiero w nim praca polska poczuła się myślą, a kiedy Zygmunt Wasilewski odpowiada, że nie, że myślą poczuła się już u pierwszych teoretyków narodowej demokracji, — rozmiągają się oni, i zasadniczo obydwaj mają słusność, póki się nie uczyni proponowanego rozróżnienia. Bo myślą poczuła się tam, gdzie chce Wasilewski, myślą była u Świętochowskiego, ale wzruszeniem filozoficznym o niezastąpionym wpływie motorycznym jest ona dopiero u Brzozowskiego. I w tej właśnie formie oceniać ją musimy.

Pamiętając o tem rozróżnieniu, nawróćmy do przykładu z katastrofami kosmicznymi, którego „poprawkę psychologiczną” uważa p. Suchodolski za zupełnie niezrozumiałą. Spróbujmy go wstawić w schematycznie naznaczone, bo trudno myśleć o szczegółowym rozprowadzaniu kwestji, miejsce, jakie podobna myśl zająć może wśród składników metafizyki pracy Brzozowskiego. Nawraca tu stale, choć z modyfikacjami, rozgraniczenie, świata ludzkiego i pozaludzkiego. Pierwszy jest nam dostępny i znany, ponieważ został przez nas stworzony. Drugi, to ciemne nieznanne, z którego tyle tylko poznajemy, ile naszymi narzędziami pracy czy obserwacji naukowych, będącymi tylko wysubtelnieniem narzędzi pracy, zdolamy na nim wywalczyć. Ile twórczością ludzką zdolamy się w ten niepoznawalny inną drogą świat wdrzeć.

Modyfikacje, o jakich wspomniano się, będą polegać na ewolucji Brzozowskiego w ujmowaniu sposobów tego wdzierania się, na przejściu od prostego powiedzenia: narzędzia pracy, do stanowiska jakie znajdujemy np. w „Głosach wśród nocy”. Lecz czy to będzie wola pracy, „techniczno-biologiczny poziom życia”, czy też będzie wola kultury, miłość, zawsze mamy tu „bezpośrednie zetknięcie się z nieznanem”, na którym człowiek swój świat, wywalcza i rozszerza, zawsze jest tu spór z „pozaludzkim żywiołem”.

Lecz co główne, ów świat nieznanny, obcy prawom człowieka, owe moce niepodbite trwają ciągle i grożą. Zdumiewające wyuczucia tych spraw u Brzozowskiego, siły z jaką je przedstawił, napewno nie zrozumiemy tylko z jego ideologii. Owe katastrofy niszczyielskie, ujrane pod tym kątem właśnie położone na linję graniczną żywiołu, i człowieka, mają treść uczuciową, której nie da się sprowadzić do pomysłu o ochronie przed niemi, o tem, że nie powinny przecieć wstrzymać ludzką pracę kulturalną. Tę ostrzegawczą groźbę świata nieopanowanego przez człowieka, która czyha przeczajona, należy raczej wziąć za przeciwwagę żywszego i częstszego prądu myśli o wszechwładzy człowieka. Za przeciwwagę i pewnego rodzaju ostrzeżenie metafizyczne, wskazujące, mimo całej dumy twórczości, na kruchość dzieła człowieka. Ostrzeżenie poprzez męski pesymizm, poprzez świadomość rzeczy nieprzezwycięzonych.

Bo ten prąd najżywszy u Brzozowskiego powiadał, że człowiek zdobywając na świecie swą twórczością poznanie tego świata, niekąd stwarza go dopiero. Stając się jego prawodawcą, coraz dalej rozciągającym swoje zdobycze, w pewnej chwili przerasta świat pozaludzki. Ten bowiem staje się rzeczywistym dla człowieka dopiero wówczas, gdy opanował go swą twórczością i myślą. I gdzie jak gdzie, ale tu właśnie Brzozowski najbardziej operował formą wzruszeń filozoficznych. Tu jego filozofia pracy, pomimo prób sformułowania tego zagadnienia nawet na modłę Avenariususa, nie ułożyła się i napewno nigdy nie byłaby się ułożyła w tamy idei filozoficznych. Tu był najsilniejszy, do heroizmu pobudzający nacisk na całego człowieka, na jego etykę, na jego przyszłe czyny — nacisk dokonywał się tworzeniem takich wzruszeń filozoficznych, jakich poza Brzozowskim przecieć w naszej literaturze nie mamy. Najbardziej dobitnym przykładem jest książeczka o Nietzschem.

By przejść teraz od kwestji merytorycznych do formalnych, wypadła posłużyć się dłuższym cytatem, w którymby uwidoczniły się te obydwie kwestje. Wybieram cytat z definitywnej redakcji „Kilku uwag o stanie ogólnym literatury europejskiej i o zadaniach krytyki literackiej” (por. „Głosy wśród nocy”, str. 92 — 374). Słowa, jakie nastąpią, są jednym z najpiękniejszych u Brzozowskiego wyrazów tego właśnie samowładczego prądu myśli, przeciw któremu powstawały katastroficzne ostrzeżenia, z drugiej zaś strony w takiej ciągłości uwidacznia się dopiero różnolity skład treściowy pism Brzozowskiego, tak dla niego charakterystyczny, uwidocznia się to pobudzanie całej osobowości ludzkiej.

„ — niewypowiedziane, nienazwane marzenie Zachodu: nieukończoność zapłodniona twórczością i rodząca coraz wyższą coraz nieprawdopodobniejszą wolę. Przez pierś ludzką przechodzi tu marzenie, które samo siebie ziszczają, twórczość, która dźwiga sama siebie ideałem. Przestrzeń gwiazdzista musiała być czyjąś miłością, czyjś snem, nim otoczyła nas swoją ciszą... Człowiek Zachodu wie, że on powołano do uczestnictwa w swym dramacie dziwnie potęgi oceanu, przestrzenie międzygwiazdne, w których myśl się gubi. Otaczają nas moce nieznanne nam, jak tylko z pewnej ich powierzchni, myślą Zachodu jest nie pozostawić nic objętego poza sobą; rozszerza ona nieustannie styczność naszą z uczestnikami światowego dramatu świadomie i celowo poddaje się ich działaniu, zdecydowana wdrzeć im ich tajemnice... — Bogowie świata mają zasłonięte, nieprzenikalne oblicza, ale jednym z pośrednich jest sam człowiek, równieśny wszystkim, jeśli nie wiekiem, to samoistością swej woli; a jednocześnie nie zna on i własnej swej twarzy, gdyż wszystko, co w nim jest, jest twórczością.

My to, ludzie Zachodu jesteśmy dziećmi snów i ich rycerzami. Wola nasza dlatego jest tak niewyczerpana, że nieustannie sama sobą się zapładnia i wyrasta z gruntu nienarodzonego, niedosiężna na żadnym punkcie, na którym stoi. Dla nas to, ludzi Zachodu, ziemia jest jeszcze ojczyzną cudów i niespodziewanego zakłęcia, które nas dźwiga a nie wypowiedziało jeszcze swojej tajemnicy. Gdy uwierzmy we własną rzeczywistość, zrozumiemy, że nigdy nie istniał czas, w którym tak wiele pozaludzkiego zyskiwałoby imię. Czyż wciąż będziemy zbyt słabi dla ognia własnych, przez nas spowodowanych, objawień? Człowiek dzisiejszy jest żalony i śmieszny, gdy nie czuje, że rozrósł się już tak wewnętrznie dzięki samemu sobie, tak przeobraził się i przetworzył, że mądrość z przed wieków do innej niemal była zwrócona istoty. W czynach naszych jest nasza wiara i czyny te dlatego wydają się nam tak obce, bo duch wierzący słowami w tyle pozostał przerażenie poza duchem, który żyje w czynie, woli, zużyciu i oddaniu całej życiowej istoty”.

Pozostawmy na uboczu próbę analizy. Ograniczmy się do pytania, jak interpretować intelektualnie taką i podobną jej wypowiedź. Całkiem oczywiście mamy tu do czynienia z różnolitem pasmem myśli. Jedne ognia są czysto myślowe, jest ich mniej, inne są w typie wzruszeń filozoficznych, inne wreszcie są wyraźnie etyczne, nakazu-

jące, by stan jaki się stwierdziło utrzymać, by mu sprostać napięciem woli i dążeń. Jeśli jednak ograniczymy się do uszeregowania ogniw czysto myślowych, powstaną luki, jakich niczem nie zapełnimy. P. Suchodolski tak zaś niejednokrotnie czynił w wypadkach podobnych, okrawając myśli Brzozowskiego, pozbawiając je członów, bez których się zupełnie nie tłumaczy. Co ważne wreszcie, nie raz u Brzozowskiego nikną ognia myślowe, zostaje sam pęd wzruszenia filozoficznego. Jeśli zaś nie będziemy pamiętać o proponowanym sposobie ujmowania, wiele z jego pism nie będziemy wiedzieć poprostu, gdzie pomieścić. Chociażby naprzykład takie słowa z „Fryderyka Nietzschem”, które są podanym cytatem z „Głosów wśród nocy”, tyle że pominiętymi członami myślowymi: „Jakie to piękne, człowiek dźwiga sam z siebie bogów i słońca, sam dla siebie, swoją własną wolą i tylko dlatego, że chce, a potem wszystko znika i znów powstaje to samo!”.

I tu możemy przejść do ściślejszej oceny ideologii Brzozowskiego. P. Suchodolski pyta, czyż nie mamy prawa oceniać jej niezależnie od genyzy psychologizacji, jak „postępujemy wobec Kartezjusza, Kanta, Bergsona i każdego z filozofów?”. Czy nie mamy prawa zająć wobec niego stanowiska opisowokrytycznego, miast psychologicznie-wybaczającego? Bezwzględnie, że mamy prawo. Postawmy go jednak w szeregu myślicieli, którzy z nim bardziej się będzie godził. Zapytajmy, powiedzmy, o Pascala, Fichtego, Nietzschemo, Bergsona również, ale tego Bergsona, który obrazem, zawierającym typowe wzruszenie filozoficzne, wyjaśni, jak pojmuje rozdział dróg ewolucji istot żywych, dojście w człowieku do pełni tylko pewnych zdolności: „wszystko dzieje się tak, jakby niezdecydowana i płynna istota, można ją nazwać jak się chce, człowiekiem lub nadczłowiekiem, pragnęła się urzeczywistnić i jakgdyby udało się jej to dopiero gdy porzuciła po drodze część samej siebie”. — Postawmy go w szeregu, który z rozmaitych względów bardziej się z Brzozowskim pogodzi. Bo będzie to zasadniczo, nie wyłącznie rząd twórców wielkich wzruszeń myślowych — religijnych, narodowych, etycznych, metafizycznych, których w tej właśnie odrębności oceniać musimy. Jeśli zaś na tej całkowitej, nie cząstkowej podstawie dochodzi się do tej lub innej ich oceny, wówczas na nią również się zgodzić musimy. Ale chodzi o to, by podstawa sądu była całkowita, tego zaś, jeśli chodzi o Brzozowskiego, w książce p. Suchodolskiego nie znajdujemy.

Wypływa z tego również odpowiedź na kwestję trzecią. Zagadnienie apercpcji myśli Brzozowskiego. Powiadałem, że jest niekonsekwencją w uznawaniu wartości wychowawczej wpływu Brzozowskiego przy równoczesnym niskim wartościowaniu, lub też odmawianiu wszelkiej wartości myślowej jego dzieł. P. Suchodolski odpowiada, iż niekonsekwencji niema, albowiem wartość wychowawczą i filozoficzną pewnej doktryny bywają rozbieżne, dlatego że apercpcja myśli rzadko idzie takimi drogami, na jakie wskazywałby jej logiczny rozwój. Tak ma być z Brzozowskim. Przyjmowano myśli, które ściśle biorąc nie leżą na linii logicznego rozwoju jego poglądów i dlatego oddziaływanie to było wartościowe.

Myślę całkiem przeciwnie. „Wina” nie leży po stronie niewłaściwej i nieściślejszej apercpcji społecznej poglądów Brzozowskiego, jako systemu podnień. Całkiem poprostu nie było w dziele Brzozowskiego możliwości takich, jakie p. Suchodolski podkreśla. Możliwości tak wyodrębnionych od sposobu w jaki to, co nazwalibyśmy czystymi ideami filozoficznymi Brzozowskiego, bywało podane. Rozróżnienie poprzednio uczynione obowiązuje również tutaj. Ten prąd wzruszenia i zdumienia metafizycznego, to przeplatanie się różnorodnych ogniw duchowych, w którym nasykały one wzajemnie swą treścią, mogło działać i działało tylko w jemu właściwy sposób. Jako system wzruszeń, ogarniających całą osobowość odbiorcy, zmuszających go do wysiłku, podniecających, co jedynie wyjaśnia dziwny a niezaprzeczalny fakt, że Brzozowskiego krytyka złudzeń świadomości, świadomości prawdziwej nigdy nie zburzyła, lecz przeciwnie, utwierdzała ją, nadawała siłę.

WAŻNE ZAGADNIENIE W NIEWAŻNEJ POWIEŚCI*

Powieść Jasińskiego, artystycznie nieopanowana, porusza jedno z najgłębszych zagadnień w związku z wielkim aktem reform w Rosji sowieckiej. Chodzi o wewnętrzną reformę człowieka.

W obliczu przemian ustrojowych, rosnących jak lawina, i jak lawina znoszących dotychczasowe, wiekami ukształcone, formy bytu — człowiek był największą zagadką. Literatura — ta twórcza — wstydliwie omijała jego życie wewnętrzne. W życiu publicznym obserwowaliśmy przeważnie nie zwykłą zdolność przystosowywania się do nowych warunków egzystencji — ale jak dalece proces przemian społecznych przeniknął do duszy obywatela sowieckiego — tego nie wiemy. A to właśnie ze stanowiska filozofii i psychologii ruchu byłoby niewątpliwie najciekawszą rzeczą. Bo co znaczą powszechnie proklamowane hasła a nawet uporeczywe wcielanie doktryny komunistycznej w życie, jeżeli pod brzmieniem programowych słów i ciężarem uprawy praktycznej nowych zasad nie tętni nowa wola człowieka? Brzmienie rozplynie się w powietrzu, gdy minie stan upojenia, a ciężar nowej praktyki conajwyżej przyniesie dawne kształty istnienia, ale czy urodzi nowe? Czy nowy ruch, nowe tablice przykazań, nowa terminologia i nowy światopogląd stworzą nowego człowieka, czy — słowem — nowe prawa zewnętrznej rzeczywistości staną się obyczajem duszy, naturalną emanacją nowego człowieka?

Oczywiście, pytania te mają charakter retoryczny a może i demagogiczny. Żadna bowiem, nawet największa doktryna, nie może pochwalić się absolutnym triumfem nad naturą człowieka. Przykładem chrześcijaństwo. Do sceptycznych refleksyj Krasińskiego w „Nieboskiej” nie wiele moglibyśmy dodać. Stosunki między zbiorowościami i jednostkami ujawniają ten sam kąt odchylenia od głoszonych zasad. Mówi się jedno, czyni drugie. Dystans między rzeczywistością a ideałem wydaje się niezmienny. Nie w takim więc ujęciu należy szukać argumentów dla rozwiązania problemu dysharmonii między teorią a praktyką. Sama zresztą filozofia chrześcijaństwa poucza nas, że nie w akcie cudu lecz w procesie walk i bolesnych przezwyciężeń wewnętrznych tkwi sens wiary. Dla istot, których przeznaczeniem jest bytować na ziemi; nagroda pozagrobową jest ideałem nieruchomości, albo raczej oddalającym się od nas w miarę zbliżania się do niego... Na wyższym poziomie życia etycznego rodzą się wyższe rodzaje przeszkód, stosunek jednak między tem, czym człowiek jest a tem, czym chce być, pozostaje ten sam. Chodzi więc i w tym wypadku, jak w każdym innym, jedynie o siłę, szczerość i odwagę walki z samym sobą, o niezłomne i nieustanne pokonywanie „niechęci chcenia”, bo właśnie może w samem przewyciężaniu tego co jest lub co nazywamy złem, realizuje się owo nieokreślone, wymarzone dobro, tajemnicza wartość wolności, równości, braterstwa, jako ideału egzystencji.

Odrzucając hedonistyczny charakter wszelkiej filozofii życia, trudno jest i w stosunku do komunizującej się Rosji stosować sprawdzian absolutnej harmonii między duchową wartością społeczeństwa a wartością nowego ustroju. Jest rzeczą niewątpliwą, że o ile natura ludzka naciska i modyfikuje formę ustroju o tyle znów sam ten ustrój wdziera się w naturę człowieka i dokonywa w niej zmian. Dyscyplina racjonalizuje i mechanizuje jednostkę, jednostka jednak nieustaje w humanizowaniu nowego mechanizmu, i jałowem byłoby zastanawiać się kto w tej grze ostatecznie zwycięży — realny człowiek czy idealna doktryna. Ważna jest sama gra. W niej i przez nią wypowiedzi się przecie życie. Zagadnienie więc można ograniczyć do walki między starym a nowym człowiekiem — w człowieku. Obaj są ludźmi historii. Jeden tej, co była — drugi tej, co będzie. Obaj jednak potrzebni są, aż-

by była teażniejszość, obaj więc muszą wyjść z więzienia pewnej abstrakcji i jako konkretne, żywe osobowości, wziąć aktywny, walczący udział w tworzeniu się historii.

Jeżeli więc chodzi o proces tej walki ludzi wczorajszych z jutrzejszymi na rzecz ludzi współczesnych — to literatura sowiecka w niewielu tylko dziełach ją demonstrowa. Najwybitniej w pisarstwie Leonida Leonowa, w powieściach „Złodziej” (Wor) i „Skutarewskij”. Jasiński również próbuje odmalować te zmagania, siły go jednak zawodzi. Posłuszny dydaktyzm przecieka nazbyt szeroką strugą w konstrukcję artystyczną, abyśmy mogli uwierzyć w prawdę przeżyć jego bohaterów. Chaos w obrazowaniu ich doświadczeń wewnętrznych, brak wytrzymałości twórczej w modelowaniu charakterów, a zwłaszcza słaba przenikalność do źródeł psychologii — oto przyczyny powierzchowności utworu.

Autorowi chodziło o uwydatnienie atrakcyjności komunistycznych form życia, o podkreślenie moralnej przewagi nowej mody życia wobec wyznawców dawnej Rosji, wykołajców, egoistów a wreszcie wobec cudzoziemskich fachowców. Fabuła powieści, uboga i szablonowa, czyni wrażenie jakiegoś pomocniczego sztafażu, na którego zrębach autor rozpina sieć rozumowanych, programowych djalogów. Odrazu widać, że te teoretyczne partje książki stanowią główną przyczynę jej powstania. Występujące tu i ówdzie próby psychologicznego pogłębienia zarówno profilów ludzkich jak czynów poszczególnych jednostek, giną w natłoku publicystycznego rezonerstwa.

Jak się dowiadujemy od samego autora, utwór jego został zdeformowany przez „łomacza” (niejakiego p. Lorie) do spółki z wydawcą, i stanowi tylko połowę mającej się ukazać całości. Trudno w tych warunkach zdobyć się na odpowiedzialną ocenę powieści. Zamysł jednak, pomimo defektów, da się odcyfrować, a wraz z zamysłem i kontur wykonać dzieła.

Autor przedstawia jeden z licznych odcińków sowieckiego budownictwa, ściślej — szkielet szeroko zakrojonej przebudowy warunków przyrodniczych danego kraju (południowy kraniec Rosji) dla stworzenia żeń wielkiej placówki przemysłowej. Na terenie pracy — podobnie jak się to dzieje i w książce Pilniaka „Wołga wpada do morza Kaspijskiego” — zgromadzili się przedstawiciele starej i młodej generacji, ludzie przeszłości i przyszłości. W obrazowaniu tych pierwszych, Jasińskiemu chodziło o oczywiście nie tylko o podkreślenie obciążenia burżuazyjnych minionego świata, ale przede wszystkim o uwypuklenie ogólnego psychicznego typu — człowieka samozachowawcy. Ci t. zw. szkocnicy nie są bynajmniej Mohikanami dawnej carskiej epoki, nie są to ludzie starzy. Wzrastali wspólnie z pokoleniem budowniczych komunizmu; są to więc, niezależnie od tych czy innych wpływów kulturalnych, typu duchowo konserwatywne, zamknięte w obrębie osobistych uczuć, związane z tradycjami, ustabilizowanymi formami życia, odwrócone wolą od wszelkiego ryzyka, od wszelkiego wysiłku „nad poziomy” — który to wysiłek ma charakteryzować właśnie pionierów nowego ducha rosyjskiego.

W tym celu Jasiński przedstawia zarysy życia osobistego poszczególnych osób, zwłaszcza owych konserwatystów psychicznych — i te momenty są bodaj najciekawsze. Niestety, są to luźno w całość wcielone wątki, nierozwinięte a niewyzyskane. W postaciach tych utajonych wrogów sowiezizmu wyczuwamy zaledwie związki z dawną kulturą, nie widzimy natomiast żadnych zmagania z nową. Autor nie wysilił się na ujawnienie przyczyn wewnętrznych, no i społecznego ich oporu wobec nowej Rosji. Stwierdził poprostu, że ją sabotują. Tę samą metodę dostrzegamy i w demonstrowaniu duchowych przeobrażeń inżyniera amerykańskiego, Clark'a. Autor zmienia mu „burżuazyjną” skórę dość łatwo, raczej przekonywa go o potrzebie tej zmiany, niż ją przeprowadza od wewnątrz.

W konsekwencji cel artystyczny dzieła — odtworzenie walk wewnętrznych człowieka na przełomie dwóch światów — nie został osiągnięty. Czyżby rygor partyjny, ciągnący na działalność obywatela sowieckiego, wkraczał ciągle jeszcze w obowiązki literackie pisarza?

Wydawało nam się, że panujący od zarania bolszewizmu przymus utylitarystyczny

od pewnego czasu zelżał, że tamtejsze czynniki miarodajne wejrzały w subtelną mechanikę twórczości i przekonały się, że swoboda jest tej twórczości podstawową funkcją, że wreszcie stosowanie rygorów społecznych w literaturze więcej społeczeństwu przynosi strat, niż zysków...

Leon Pomirowski.

OSTATNI LIST PRZYBYSZEWSKIEGO

P. Stanisław Helsztyński zwrócił się z publicznym apelem w pismach do posiadaczy listów Przybyszewskiego o nadesłanie mu odpisów dla celów wydawniczych.

Czynię żądanie temu wezwaniu, również publicznie, ogłaszając list Przybyszewskiego, pisany do mnie w ostatnich niemal dniach życia, a będący wymownym świadectwem w jak ciężkich warunkach znajdował się wielki pisarz u schyłku dni swoich. Dn. 8 listopada 1927 r. w godzinach przedpołudniowych spotkałem się ze Zdzisławem Dębickim, który w rozmowie wspominał mi, że Przybyszewski znalazł się znowu w bardzo ciężkich kłopotach finansowych i że nie tylko niema z czego żyć, ale grożą mu ponadto różne przykre konsekwencje niezaplaconych należności.

Dębicki, wiedząc, że jestem członkiem zarządu Związku Zawodowego Literatów Polskich, zapytał, czy Związek niema możności przyścia z pomocą sędziemu, a mocno niedomagającemu już przestarzałemu.

Odpowiedziałem, że Zarząd nie rozporządza wprawdzie żadnymi funduszami, ale spróbuje wyjednać dla Przybyszewskiego jakąś doraźną zapomogę w Wydziale Kultury i Sztuki Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Dębicki powtórzył tę odpowiedź Przybyszewskiemu, który tego samego dnia 8 listopada nadesłał mi przez służącą następujące pismo (bez daty):

„Wielce Szanowny Panie.

Mówił mi p. Zdzisław Dębicki, że rozmawiał z Panem o moim fatalnym położeniu, w jakim się obecnie znalazłem, jak również dowiedziałem się od niego, że mogę z „Związku” otrzymać pożyczkę, czy coś w tym rodzaju bez wszelkich podań i wogóle jakiegokolwiek pisaniny.

Aby się ratować muszę wyjechać do znajomego na wieś, a znowu wyjechać nie mogę, jeżeli się uprzednio nie zabezpieczę tu w domu, bo grozi mi licytacja i pozatem jeszcze inne przykrości.

Bardzo będę Panu wdzięczny, jeśli mnie Pan zechce łaskawie przez oddawczynię tego listu — naszą służącą — poinformować czego i kiedy spodziewać się mogę. Usilnie Pana proszę o parę słów, byłbym sam przyśzedł, ale gnębi mnie ciężki bronchit.

Wyrazy głębokiego szacunku przesyła

Stanisław Przybyszewski.

P. S. Już jabyam Szanownego Pana nie trudził, ale wszystko się już teraz na mnie

Stanisław Czosnowski.

NOWE POEZJE

Eugenjusz Zytomirski „Bez w Samolocie”.
Literacki Instytut Wydawniczy.
Warszawa, 1934.

Wiersze Zytomirskiego wskazują na pewne możliwości autora w zakresie rytmicznej ekspozycji uczuć. Zytomirski posiada płynną strofę i niejaki uczenie estetyczne. Jednak w zetknięciu z jego wierszami doznaje się wrażenia, że poeta zatrzymał się w pół drogi, że przedwcześnie zaniechał pracy nad formą swych wnurzeń, że słowem przestał wiele od siebie wymagać. Przekonał się, że może pisać poezje — zadowolony faktem. Wiersze przeto Zytomirskiego są lepsze lub gorsze, czasami poprawne, ale zazwyczaj formalnie zrezygnowane. Brak im ryzyka, większych załamań, problematyki pisarskiej, brak upartego wysiłku autora w pomnażaniu środków ekspresji i doskonaleniu techniki.

Wzruszenia osobiste stają się liryką dopiero z chwilą ich obiektywizacji, to znaczy z chwilą takiego formalnego ukształtowania, które sprawia, że przeżycie poety zamienia się w przeżycie czytelnika. Wiersz winien posiadać zdolność budzenia echa, rezonansu, współbrzmienia. Subtelność w

odczuwaniu i nurtująca potrzeba wypowiedzi lirycznej świadczą o możliwościach, ale od realizacji dzieli jeszcze poetę całe morze trudu i wysiłku nad formą. Tej koniecznej pasji w pokonywaniu przeszkód tworzywa poezje Zytomirskiego nie wykazują.

W zbioru nieco przeladowanym liryką miłosną wyróżnia się „Zelazo-beton”, „Chopin na Majorce” wreszcie „Klatka schodowa”, wiersz chropawy i nieporadnie zbudowany, ale nacechowany oryginalnością i mocny. Zytomirski czerpiąc tematy zarówno z życia jak i literatury ze znaczną łatwością umie je rytmicznie interpretować i przekładać na język wyobraźni. Niemniej napięcie emocjonalne tych strof oraz ich liryczna wyrazistość zostaje osłabiona naskutkiem niedostatecznej deformacji. Zytomirski chcąc wykorzystać poetyckie uosobienie musi przestroić słowo, nie zadowolając się rytmem i przeciętną metaforą. Na podstawie recenzowanego zbioru wierszy można stwierdzić, że praca jakiej się autor podejmuje nad skomplikowaniem swych wypowiedzi może nie będzie daremna.

Z. Kucharski.

* Bruno Jasiński „Człowiek zmienia skórę”, przełożył z oryginału Arno Lorie, wyd. „Rój”.

CAŁE ŻYCIE SABINY

Pani Helena Boguszevska należy do pisarek ambitnych i pełnych inwencji w poszukiwaniu własnych dróg. Do roku 1932 działalność jej szła raczej po linii dziennikarskiej niż literackiej, która objawiła się dopiero w tomie, uderzającym zarówno nowością treści i formy — w „Świecie po niewidomym”.

Ten zbiór opowiadań o niewidomych dzieciach, mieszkających niedostępnej dla nas — widzianych — krainy, przepojony był prostotą, która sąsiadowała z jednej strony z powściągliwością, a z drugiej dotykała krawędzi spraw głębokich i ważnych. W następnej kolejności książce p. t. „Ci ludzie” sięgnęła autorka w świat inny, ale daleki przeciętnemu odczuciu, tym razem już tylko inteligentkiemu, świat ludzi przedmieścia. Dała w niej jeden z pierwszych reportażów społecznych, wyróżniający się od innych niefałszowanym, opartym o kobiecą uczuciowość humanitaryzmem, któremu może trudno zdobyć się na jasno skonstruowaną koncepcję życia, ale który umie subtelnie przeświecić zakamarki duszy człowieka.

Nie można nie przypomnieć o tych książkach, gdy się ma do czynienia z trzecim utworem pani Boguszevskiej w dość niezwykły sposób przedstawiający „Całe życie Sabiny”.

Książka ta jednocześnie potwierdza spostrzeżenie o tendencji autorki do sięgania w dziedzinie oryginalności treściowej i formalnej, i nasuwa pewne uwagi ogólne co do linii rozwojowej jej talentu.

Uderza więc najpierw sama niezwykłość techniki i kompozycji: W ostatniej już chorobie leży w miejskim zwyczajnym mieszkaniu kobieta i wykonywa ostatnią pracę, którą jej nakazuje tajona świadomość końca wędrówkę po wszystkich krainach minionego życia.

Sabina rozkłada je sobie na zamknięte w sobie całości, które przemyśla od początku do końca — do tego momentu, w którym a raczej przed którym zatrzymuje się niespokojnie ludzkie serce.

Kolejno odtwarza sobie życie, siebie i swe przeżycia według następujących po sobie sukien, mieszkań, służących, książek, zajęć i wreszcie poranków, z których jeden przyniesie jej śmierć.

W tych sześciu grupach wspomnień eliminujących się nawzajem w sztuczny nieco z punktu widzenia psychologii sposób zawarła autorka obraz przeciętnego życia nieinteresującej kobiety i osiągnęła wynik niespodziewany — wzruszenie.

Sabina nie posiada żadnej cechy intelektualnej lub uczuciowej, która by nas zjednywała, usposabiała do niej życzliwie. Nie posiada ani większej inteligencji, ani zdolności czy zamiłowania w jakimkolwiek kierunku, ani wybitnej subtelności, dobroci czy nawet wdzięku. Jest to jedna z tych kobiet, których indywidualność jest widoczna tylko dla nich samych, bo ktoś obcy nie odróżni ich w tłumie innych, tak jak nie zatrzyma pamięci widoku twarzy przeciętnego, mijanego przechodnia.

Życie Sabiny nie posiada też interesującego oblicza. Cóż, miała jak tyle innych dzieciństwo z jego gorącymi łzami, radościami, ze wsią, psami, miała młodość, a w niej jakieś tam studia i zabawy i zakochanie się, a potem przyszło małżeństwo i dziecko i lata wojny z okupacją, a potem opuszczenie przez męża i praca zarobkowa i dwukrotna jeszcze miłość, aż wreszcie to łóżko w saloniku siostry, na którym odbyła podróż w czasie — przed jeszcze jedną podróżą, już najostatniejszą.

W czym leży tajemnica wzruszenia, które chwilami każe nam podkładać własne uczucia pod przeżycia tej jednej z miliona Sabiny, chodzących po świecie? Może właśnie w tej jej przeciętności, w tem, że los nie oddała jej od nas indywidualnym bogactwem przeżyć, że jest wykładnikiem ludzkiej powszedniej doli. Film jej życia nakręcony przez autorkę z sześciu różnych punktów widzenia i sześciokrotnie puszczonej w tempie zwolnionym przed naszymi oczami, ukazuje nam odruchy tak wspólne naturze ludzkiej, a zwłaszcza kobiecej, że przestaje nas obchodzić fakt kto to właściwie i kiedy przeżywa — patrzymy w twarz samemu życiu. Widzimy je nie w perspektywie zagadnień czyto aktualnych czy metafizycznych, widzimy je w ten

właśnie sposób, w jaki wpatrujemy się w świat kropli wody pod mikroskopem. A przecież i mikro- i makrokosmosem rządzą te same właściwie prawa, a z tych najważniejsze — stale przeceniane lub niedoceniane uczuciowo — jest prawo przemiany i przemijania.

Ciągła zmienność, wiodąca nasze przeżycia i uczucia od początków do kresów, przetwarzająca nas samych i wszystko, co nas otacza wbrew i mimo naszej naiwnej, błagalnej prośby: Verweile doch... oto ciągle wydobytą się leitmotiv książki.

Sabina napotyka w przeszłości na coraz nowe, inne Sabiny — wciela się w tę, która tańczy w ogródku z psem Bębem, ma cudaczne sukienki i piwne oczy, w tę, która kiedyś w upojeniu udanej zabawy jest „prawie ładna” i ma oczy już modnie brunatne, w wychudzoną, nadaremnie czekającą na Jana Sabinę, w śmiałą i pewną siebie, bo pracującą i wymagającą jak mężczyzna matkę małego Kazia i w każdej odnajduje siebie, a jednocześnie kogoś dalekiego już dziś i obcego. Jej ukrytym, przez całe życie dotkliwie uczuwanym bólem jest poczucie, że niczego zatrzymać niepodobna, że nie nie

jest wierne człowiekowi, a wszystko odchodzi od niego prędzej, niżby się nawet zdążyło zapragnąć.

Niczego i nikogo nie jest się pewnym, a właśnie jakiejś stałości i pewności pragnie znużone serce. Zmieniają się suknie, mieszkania, służące, zmieniają się ludzie, zmienia się Sabina i tylko jedno prócz pamięci zostaje w niej dawne — poszukiwanie czegoś, coby już się zmieniać przestało.

Tak wyraża się w przeżyciach małoważnej istoty ludzkiej nieodparte pragnienie trwania, nieświadomiona żądza nieśmiertelności — i to jest także sekret wrażenia, jakie wywiera powieść.

Zdaje się, że najpełniej i najsilniej może być ona odczuta przez kobiety. Są w niej takie akcenty troski, kłopoty, melancholje, że Sabina sprawia wrażenie medjum, przez które przepływają prądy szarej kobiecej doli.

Przecież taka dola znaczy się właśnie sukniami — ta kloszowa z karczkiem, ta granatowa poszerzana, ta beżowa prawie wcale nie noszona, to całe symbole współczesnych im spraw życiowych. Jak Mickiewiczowskiemu Protazemu suche spisy nazwisk w jego książce woźniczej zdają się — jemu samemu —

obrazów wspaniałych zarysem, tak właśnie tylko kobiecie suknią uprzytomnić i przywieść przed oczy potrafi niejedyn szmat życia. A służące? któż inny niż kobieta potrafi tak wnikać w ten świat komina i balji, w to całe ważne a oszczędzone mężczyźniem «dessous toalety życia, którem rządzą przeróżne Leosie, Modestowe, Sobieskie i tyle innych, do których mówi się zawsze „ty” i przy których rozmawia się po francusku. Galeria służących jest obdarzona przez autorkę taką plastycznością, że jaskrawo odcina się z tła powieści, górując tem nad wszystkimi pozostałymi postaciami.

To jest też najbardziej zwarta część powieści, bez porównania lepsza od zamazanej i mało charakterystycznej części o książkach.

Inne postaci nie otrzymały już tej dozy życia, co tamte. Nietylko te osoby, kręcące się wokół chorej — siostra, pielęgniarka, szwagier, goście — nie są naprawdę ożywione, ale także ludzie wywołani przez rozmyślanie Sabiny z przeszłości, a więc naprawdę ją obchodzący, przedstawiają się nam dziwnie blade i ubogo. Nie chce się nam wierzyć w realne istnienie obu kochanków Sabiny — malarza Toma i kierownika szkoły Michała — ukazali się nam tak migawkowo, tak niespodziewanie, że nie umiemy sobie dowieść racji ich pojawienia się.

Z ich też okazji nasuwa się nam spostrzeżenie, że kompozycja powieści, zaciekawiająca śmiałością, nie wytrzymuje we wszystkim próby synchronizacji. Gdy próbujemy z tych sześciu ciągów, w które zebrane jest całe życie Sabiny ułożyć jeden, w pewnych momentach jasność się zaciera i doznajemy lekkiego wrażenia chaosu. Życie pokawalkowane nie chce zrastać się zpowrotem.

Spostrzeżenie to prowadzi nie do kwestionowania wartości kompozycji, ale przede wszystkim podkreślenia niebezpieczeństwa schematyzmu analitycznego, stosowanego wobec życia.

Skoro jest ono nie mieszaniną składników, a związkiem organicznym, wydobywanie ich z całości oplaca się zawsze pewną deformacją czy rozbiciem.

Powieść pani Boguszevskiej jest w zestawieniu z poprzednimi jej książkami konsekwentnym i zdecydowanym artystycznym rozwinięciem dostrzeganych tam przez krytykę pierwiastków. Humanitaryzm i głębokie, życzliwe zainteresowanie człowiekiem, połączone z pewną nieśmiałością wobec jego przeżyć i poszanowaniem dla nich — to podstawa na jakiej opiera się wybór bohaterów i tematów u autorki. Potwierdza ona w ten sposób i podejmuje jako hasło zdanie Kadena-Bandrowskiego, wyrażone w „Mieście mojej matki”, że nic na świecie nie jest mało ważne, że nikt nie jest obcy. To rehabilitacja szarego życia i szarego człowieka.

Ta postawa życiowa autorki ma swoje odbicie w języku powieści. Nienadarmo padło tu nazwisko Kadena. On to pierwszy postanowił zatrzeć granicę między językiem mówionym i pisany i potocznie, nabrzmiałe sokami życia wyrażenia przynosił do utworu literackiego.

Pani Boguszevska idzie także po tej drodze. Jej wybitny dar obserwacji objawia się nietylko w drobiazgowym, aż niepokojącym podpatrywaniu zjawisk życiowych, ale i w nieustannym tworzeniu stylu jaknajbardziej potocznego, jaknajbardziej imitującego niedbale, powszednie wysławianie się ludzi.

Notuje powiedzenia codzienne, zwroty utarte zwycięstwo, przedstawia tok myślenia taki, na jakim każdy z nas może się pochwytać, tok mowy często rozwlekły, powtarzający się, niepodlegający obowiązkowi kompozycji. Jesteśmy temi chwilami zaskoczeni, są miejsca w książce, do których uśmiechamy się jak do starych znajomych, może jak do samych siebie.

Jednakże w przestrzeni całego grubego tomu to mężczy.

Ten językowy impresjonizm stosowany nie w momentach najważniejszych dla dzieła, nie jako nagle dopingujący nasze czucie zastrzyk bezpośredniości, ale, ale przewlekający się na całej przestrzeni dzieła przestaje w końcu uderzać świeżością i nuży zbyt dużą ruchliwością i nerwowością wyrazu. To należałoby wyraźnie podkreślić dla dobra przyszłych książek utalentowanej autorki.

Zofja Mianowska.

GŁOWACKI ZA OCEANEM



PREZYDENT ROOSEVELT

rys. E. Głowacki

Nasz współpracownik, świetny karykaturzysta, art. mal. Edward Głowacki, od szeregu miesięcy odnosi sukcesy w Stanach Zjednoczonych A. P., biorąc udział w Okrężnej Wystawie Sztuki Polskiej przez wystawienie kolekcji portretów-karykatur współczesnych znakomitości Polski i zagranicy.

Początkowym etapem tej okrężnej wystawy, zorganizowanej przez International School of Art w New-Yorku, było Brooklyn Museum w New-Yorku; następnie Albright Art Gallery w Buffalo. O zainteresowaniu się pracami Głowackiego ze strony tamtejszego społeczeństwa, wymownie świadczą wzmianka z artykułu w „Buffalo Newspaper Times”, której urywki podajemy:

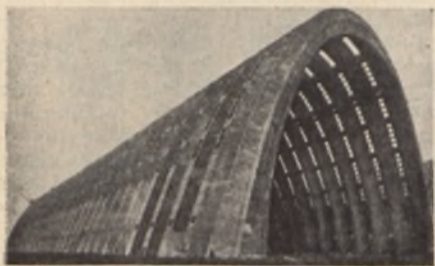
„Edwarda Głowackiego niewymagające objaśnień karykatury znakomitości światowych, m. in. tak zwanych leaderów jak Mussolini, Król Jerzy V, Hitler i nasz własny Prezydent (bardzo podobny od Maurice'a Chevalier z jego serdecznym uśmiechem), wywoływały bezustanne wybuchy śmiechu, ze strony podziwiającej je publiczności”.

„...można jedynie powiedzieć, że niewiele osób przechodziło przed pracami Głowackiego, bez pewnego rodzaju komentarzy lub wesołości”.

Wobec entuzjazmu, z jakim wystawa została przyjęta w New-Yorku i Buffalo, zaproszono ją do kilku większych miast Stanów Zjednoczonych oraz do Kanady.

WYSTAWA ARCHITEKTURY FRANCUSKIEJ NA SCENACH STOLICY

na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej



Hangar w Orly Freyssinet'a



Seminarjum w Saint-Brieux M. G. Lefort'a



Ratusz w Montdidier Duval'a i Gonse'a



Garaz w Marbeuf w Paryżu Laprade'a i Bazin'a



Instytut sztuki i archeologii w Paryżu M. Bigot'a

Wiek XIX-ty odegrał w historii architektury rolę specjalną. Romantyzm, rozwój i popularyzacja nauk historycznych, wybujały indywidualizm, a przede wszystkim brak podstaw społecznych dla inwencji twórczej architektów-historyków spowodowały to że przez 100 lat przeżywano dorobek wieków poprzednich.

Architektura XIX-go wieku nie brała udziału w postępie myśli ludzkiej, odrywając się od techniki i innych twórczych dziedzin życia. Architekci przyjęli za punkt wyjścia dla twórczości niezmienną wartość dzieł dawniej powstałych — nicowali je na wszystkie strony zlepiali i kompilowali wszystkie możliwe epoki i style.

Sto lat — to kilka pokoleń, to poważne obciążenie dziedziczne, z którego otrząsnąć się nie jest tak łatwo, nie tylko społeczeństwu, które z ojca na syna wychowywało się w rupieciami i żywało z tym chaosem, ale i fachowcom. Pierwsze próby zerwania z przeszłością „Secesja” ograniczyły się do poszukiwań nowych form. Tak powierzchowne podejście do zagadnień architektury z pominięciem treści zasadniczej powiększyło jeszcze chaos pojęć i dorzuciło jeszcze jeden kamień do balastu lat poprzednich.

Dzisiaj od kompilacji, powtarzania dawnych stylów oddzielną się wszyscy oficjalnie, określenie, że coś wybudowanego, jest secesją uważa się za złośliwość, ale zato staje się modnym pojęciem „Architektury nowoczesnej” wynikającej i wiążącej się z przeszłością.

Z jaką przeszłością i do czego się dowieść, ile dziesiątków, czy może setek, lat się cofnąć, na to nie znajdujemy odpowiedzi.

Zmieniły się i pogłębiły pojęcia architektury nowoczesnej, rozszerzyły możliwości techniczne, ale nie zamortyzował się jeszcze kapitał, ulokowany w akcjach XIX-go wieku.

Podtrzymywanie kursu tych akcji pod zmienioną firmą przez ludzi, których inwencji twórczej zawdzięczamy smutny dorobek i rolę architektury i architekta w końcu XIX i początku XX wieku, jest przyczyną, dla której pojęcia nowoczesnej i współczesnej architektury nie pokrywają się w całości.

Wystawa obecna obejmuje wspaniałą kolekcję fotografii budynków powstałych w okresie ostatnich 15 lat — rezultat pracy kilkudziesięciu architektów.

Pominięto jednak szereg architektów, których prace znośnięte są ściśle z rozwojem architektury nowoczesnej we Francji.

W kolekcji 200 fotografii zabrakło miejsca dla prac architektów tej miary, co le Corbusier, Pierre Jeanneret, dla wnętrza Charlotte Perriand. Niema zdjęć szklanego domu dr. Dalsace, architekta Pierre Chareau, pominięto Groupe scolaire w Villejuif architekta André Lurçat, zdjęcia ciekawego osiedla mieszkaniowego pod Paryżem architektów Beaudouin et Lods w szkieletowej konstrukcji żelaznej i wiele innych, ciekawych i charakterystycznych dla nowej architektury francuskiej, obiektów. Architektura nowoczesna, powiedzmy, oderwana od XIX wieku reprezentowana jest skromnie, kilka nieszczęśliwie wybranych zdjęć z prac arch. A. et G. Perret, kilka kamienic i prace, które, z uwagi na temat, mają prawo do nowoczesności. A więc: garaże piętrowe w Paryżu architektów Laprade et Bazin i arch. M. Knight'a, sanatorium architektów Pol. Abraham et Le Mème w Guébriant, hotel dla turystów w Saint-Tropez arch. M. Pingusson, hala w Reims arch. M. E. Maigrot i prace Freyssinet'a most w Villeneuve sur Lot i na rzece Elorn, hangar w Orly. Nie chodzi mi o krytykę pozostałych prac, są one bezspornie na wysokim poziomie, w detalach wyczuwa się opanowanie materiału, finezję rysunku. Chcę natomiast zwrócić uwagę na nastrój muzealny, antykwarski, na sztuczną reprezentacyjność wielu wystawionych obiektów. Inspirowanie tymi obiektami waleń architektury francuskiej ubiegłych stuleci nie zmienia istotnego stanu rzeczy — fakt pozostaje faktem — przed oczami mamy obraz przeżywającej się bezdusznej architektury XIX wieku. Ar.

„Awantura o Jolantę” — komedia w 3-ach aktach A. Hinrichsena na scenie Teatru Polskiego. Przekład J. Kossowskiego. Reżyserował J. Warnecki. (Dn. 15.VI.1934).

Sztuka poprzedzona famą największego sukcesu tegorocznego hitlerowskich Niemiec, musi wywołać zainteresowanie: nowe życie, gdziekolwiek ono powstaje, poznawane być musi wielostronnie, jeżeli ma do nas dojść w niesfalszowanym kształcie. Można nie przestawać na informacjach prasowych, bądź jednostronnych przesiewanych przez oficjalną cenzurę polityczną, bądź tendencyjnych, bo podawanych przez wrogów. Można zdobywać tę „wiedzę” poprzez reportaże podróżników, bądź też z własnych obserwacji, poczynionych na miejscu — będą to jednak zawsze wrażenia tylko, coś, co charakteryzuje powierzchwnie, co trzyma nas daleko od wnętrza.

Literatura i teatr pozwalają na bliższą penetrację. Nie dlatego bynajmniej, by można było zaufać całkowicie pisarzom, ich przenikliwości, odwadze, a nade wszystko szczeroci, ale dlatego, że przekomponowana rzeczywistość artystyczna zawsze, choć czy nie chcąc, dostarcza niezmiernie dużo informacji o środowisku, w którym powstaje. Taka literatura wymaga oczywiście od widza i czytelnika zdolności odczytania, przenikania w świat ukryty pod powierzchnią tekstu, ale nawet ten proces samodzielnego wyrabiania sobie opinii o „nowym życiu” poprzez refleksje na marginesie sztuk teatralnych i powieści, jest niezmiernie interesujący. Tem się tłumaczy niezawodne powodzenie sztuk sowieckich, które zapoznają nas z nowym życiem dzisiejszej Rosji. Tem się tłumaczy nasze zainteresowanie dla sztuki hitlerowskiej, jakkolwiek bowiem jesteśmy sąsiadami Niemiec, zdajemy sobie jednakże sprawę, iż dokonujący się w naszych oczach przewrót nie tylko polityczny, ale i duchowy, nie da się odcyfrować li tylko z enuncjacji oficjalnych polityków hitlerowskich, lub artykułów wstępnych prasy niemieckiej.

W takie rozumowania uzbrojonymu widzowi, „Krach um Jolantę” (gdzie taki jest tytuł oryginalny komedji Hinrichsena) sprawić musi zawód rzetelny. Jest to bowiem utwór charakterystyczny raczej dla tendencji wychowawczych nowego reżimu w Niemczech, niż odsłaniający oblicze niemieckiej rzeczywistości. Ani jeden element tego utworu nie daje nam posmaku aktualności: wprowadzają nas w środowisko bogatych chłopów, gdy spodziewamy się raczej bezrobotnych, żeśrodkowanych w obrotach wielkich robót publicznych, lub też rozpolitykowanych inteligentów, jako temat — niechęć do płacenia podatków, posęta zresztą w kategoriach bardzo ogólnoludzkiej społeczności. — i na tem koniec. Jeżeli „Awantura o Jolantę” jest łagodnym apelem do niemieckich „kulaków” o chętnie i szybkie płacenie danin publicznych, jeżeli autorowi chodziło o zawstydzenie tej warstwy społecznej, to niewątpliwie cel swój wypełnił. Ale nie ponadto.

Artystycznie jest to typowa i bardzo tradycyjnie pojęta „Posse”, ludowa farsa, od jakich roi się w scenicznej literaturze niemieckiej dawnej i współczesnej. Niewymyślona anegdota oparta jest na tradycyjnych motywach i na typach wyświechtanych po wszystkich kątach komedji obyczajowej: a więc inteligent zakochany, niezdamy, nieśmiały i dający się wykiwać, chłop chytry, cheiwy i bezwzględny, żandarm nadmiernie przejęty swoją rolą i koniecznie bezsilny w walce z podstępem — jedna Zośka ma jakąś większą świeżość sceniczną, ale i takich głupawych dziewczyn wiejskich nieco inaczej ucharakteryzowanych można znaleźć na kopy. Nad wszystkim zaś unosi się zapach beczek Weissbieru i wspaniały rytuał rodzinnego Schweinfestu, ów symbol gospodarczy i kulturalny tego domu, w którym stara cnota oszczędności doskonale harmonizuje z ideałem sytego żołądka i wygodnych pantofli na starość, a łapczywych pocałunków po kątach w stodole pachnącego siana dla młodych. Tak — gdyby — „nowe życie” „nowych Niemiec” oceniał na podstawie aspektów tej renowowanej sztuki, trzeba by raczej przyjąć do przekonania, że ogranicza się ono do programowej publicz-

styki i hasel na mityngach, że jednak w duszach tych ludzi nic się nie zmieniło. Albo też zmiany te nie dotarły do świadomości niemieckich autorów.

Ta popularna w najszerszym znaczeniu tego słowa komedia zagrana została na scenie Teatru Polskiego prawdziwie doskonale, wyreżyserowana zaś przez p. Warneckiego z precyzją świetnego przedstawienia. Z wykonawców największy sukces miała p. Zabczyńska jako Zośka, interesująca transpozycja dawnych piosenek ludowych z Reduty, w których przed laty p. Zabczyńska dawała tyle ekspresji, na grunt komedji realistycznej. Bardzo dużo przedniego humoru, świetnie postawiona rola, niemało aktorskiego kunsztu. P. Samborski był kwintesencją starego rudego Niemca, p. Justjan stworzył świetny epizod nie nordyckiego, czarniawego parobka, p. Fabisiak był jurnym młodym kolonistą, któremu się jednak widocznie zbyt dobrze powodzi, sądząc po wzorowo skrojonym ubraniu ostatniego aktu. Interesującą i zabawną postać nauczyciela stworzył p. Daszyński, p. Chmielewski zaś dobrze scharakteryzował postać wiejskiego żandarma. Najmniej może aktorskich wartości wniosła p. Eichlerówna, doskonale zresztą zestrojona z charakterem postaci.

Przekład p. Kossowskiego, bliski językowi jego powieści o Jakubowskim, co tłumaczy się pewną zbieżnością środowiska obu tych utworów, wybija się soczystością zwrotów gwarowych i doskonale prowadzonym dialogiem. W. Z.

MICKIEWICZOWSKI NUMER „KAMENY”

Numer 10-ty miesięcznika „Kamena” o zwiększonej objętości — 28 stron — zawiera nie tylko prace piór polskich ale i rosyjskich (Kulakowski, Fet, Benediktow), słowackich (Mecziar) oraz ukraińskich (Doroszenko, Rylskij) tak współczesnych jak i dawniejszych.

Numer otwiera okolicznościowy wiersz Józefa Łobodowskiego p. t. Mickiewicz. Pożatem wyróżniają się utwory „Wtedy” Kazimierza Jaworskiego i „Ostatni akord” Ant. Madeja. Charakter informacyjny posiadają artykuły Kulakowskiego, Mecziara i Doroszenki, w których autorowie w zwięzłych całościach podają zasięg wpływu naszego wieszczka w słowiańskich literaturach bratnich narodów. Przekład Kulakowskiego XVI rozdziału Księgi Pielgrzymstwa oraz Feta Stepy akermanskie i fragmenty tłumaczeń Pana Tadeusza Benediktowa na rosyjski, Mecziara na słowacki i Rylskiego na ukraiński uzupełniają wyżej wspomniane artykuły materiałem poetyckim. Część mickiewiczowską dopełniają wiersze grupy poetyckiej Pryzmat. We „Spojrzeniu wstecz” redakcja bilansuje ubiegły pierwszy rok istnienia Kamenu, dochodząc do smutnych wniosków. „Kto z miejscowej (Chełm Lub.) t. zw. inteligencji interesuje się Kamem i losem tego pisma? Na liście naszych prenumeratorów nie figuruje ani jeden miejscowy lekarz, ani jeden adwokat, ani jeden farmaceut, żaden oficer, nikt z inżynierów, rejentów, komorników, geometrów, urzędników starostwa, magistratu, banków i t. d. Garść nauczycielstwa i trochę młodzieży szkolnej — oto nasi czytelnicy. Oh, inteligencja nasza jest rozbrajająco szczerą”.

GDZIE MIGDAŁ DOJRZEWA

Five o'clock u pani Niny udał się znakomicie. Prawdziwą atrakcją było przybycie młodziutkiej pani Krystyny, która właśnie powróciła z Włoch. Z werwą opowiadała o wrażeniach z podróży: „Najwięcej jednak zadowolona jestem z krótkiego pobytu na Capri. Prócz wspomnień przeducudnych widoków, wywoziłam sekret przedziwnie delikatnej cery uroczych mieszkank tej lazurowej wyspy. Otóż do mycia twarzy, szyi i ramion nie używają one mydła, lecz łuski z migdałów. Gaje migdałowe spotyka się tam na każdym kroku. Przekonaawszy się, że te łuski również i mnie świetnie oczyszczają i wydelikatniają cerę, zabrałam trochę ze sobą. Jestem w rozpacz, bo zapasy moje są na ukończeniu”.

„Niech się pani nie martwi, pani Krysiu, — przerwała pani domu, która przy swej zdrowej i świeżej cerze wcale nie wyglądała na to, że już poważnie przekroczyła czterdziestkę. — Migdałowe drzewa w Polsce nie rosną, mimo to, bez żadnego kłopotu, dostanie pani w każdym składzie aptecznym znakomite otrybki migdałowe marki Antiba. Są to te same łuski migdałowe z Capri, odpowiednio spreparowane w naszym laboratorium Antiba. Służą one specjalnie do mycia delikatnej i wrażliwej cery i nowoczesne panie stosują je stale ku wielkiemu swemu zadowoleniu.”

NA ŁAMACH PRASY NA EKRAŃACH

GUCIO JAKO BOHATER NARODOWY

W ostatnim numerze „Wiadomości Literackich” Boy Zelenki w kolejnym artykule, poświęconym Fredrze, zajmuje się w dalszym ciągu nakłócaniem frazeologicznych balonów, powstałych dokola „Ślubów panińskich”. Boy słusznie podkreśla momenty chorobliwej przesady w ocenie postaci, przesady, która przynosi dziełu więcej krzywdy, niż pożytku. Pod piórem np. Grzymala-Siedleckiego, taki Guccio, niewątpliwie sympatyczna postać lekkoducha, obdarzonego sprytem, energią i przedsiębiorczością, urasta do ogromu bohatera narodowego. Mnóstwo tych bohaterów wyległych z patriotycznej raczej, niż krytycznej, fantazji, wpływa wyraźnie na deprecjację samej istoty bohaterstwa. Jeżeli się bowiem tyle arcy-narodowych cnót przypisuje obrotnemu zalotnikowi to cóż pozostaje do powiedzenia o Skrzetuskich, Wołodyjowskich, ks. Markach, Robakach i t. d.?

Wydaje nam się, że nawet napięcia uczuciowe okresu niewoli nie usprawiedliwiają tej nieumiarkowanej grandilocwencji „analitycznej”, w której pianach postać komedjo-wa poprostu tonie, a co najmniej zatracą swoje istotne, właściwe artystyczne proporcje.

IDEOLOGJA NIENAWISCI

W związku z ohydą zbrodni, dokonaną na ministrze Bronisławie Pierackim, prasa usiłuje dość przypuszczalnych źródeł ideowych zamachu. Jednym z celniejszych na ten temat wydał nam się artykuł p. Jana Dąbrowskiego w „Kurjerze Porannym” z dn. 22 czerwca r. b.

Autor publikacji słusznie zwraca uwagę na negatywne wartości wszelkich frond politycznych, zwłaszcza na ich fałszywą rewolucyjność. Wymowni w tępieniu, odrzucaniu, degradowaniu, nie mają nic do powiedzenia, gdy chodzi o pozytywny stosunek do rzeczywistości. Dotyczy to szczególnie młodzieży prawicowej, nagminnie obciążonej naśladownictwem obcych wzorów, natomiast całkowicie wyjałowionej z poczucia realnego sensu działań. A przytem ta rewolucyjność — rewolucyjność przeciw państwu — pod opieką państwa! Inni krwawili, mordowali się o zdobycie samodzielności, oni już czują się gotowi do korygowania tego trudu, z którym nic wspólnego nie mieli. Jest w tej akcji „koszulowej” jakaś bolesna groteska epigonów, którzy wyszli spod skrzydeł notorycznych wrogów wolności (stara endecja), i zamiast uczyć się nowego życia, wdzięczna ta młodzież podkłada mu miny, nagazowane brukową nienawiścią, fermentem bezmyślnych zadrzań.

TEORJA I PRAKTYKA

Niema takiego czasopisma, poświęconego sprawom kulturalnym, w którym nie czytaliśmy prawdziwie uczonych wywodów na temat reform szkolnych, zagadnień wychowawczych, nowych postulatów nauczania. Studja te są koniecznością. W obliczu tak doniosłej dziedziny społecznej jak akcja oświatowa — nigdy za mało tych rozpraw, dyskusyj — gdyby nawet doraźnie nie dawały pożądanego rezultatu i były tylko

procesem wyrabiania samowiedzy pedagogicznej. Z drugiej jednak strony uderzyć musi bezstronnego obserwatora dość jaskrawą rozdziwką między ową teorią a praktyką życia szkolnego.

Asumpt do tych uwag dają nam tragedje maturalne, z których ostatnia w gimn. im. Zamojskiego. Podobno inteligentny, społecznie zasłużony ośmioklasista, przepadł na egzaminach piśmiennych. Znowu matura i znowu te rujnąjące wstrząsy nerwowe.

Nie chcemy tu być źle rozumiani i wysnuwać z pojedynczych faktów ryzykownych uogólnień.

Człowiek doznaje w życiu cięższych przeżyć i nie popełnia samobójstwa, Zapewne. Nie ulega jednak wątpliwości, że ze wszystkich takich przeżyć, prób, doświadczeń późniejszej egzystencji — matura — jeżeli wziąć pod uwagę wiek, stan nerwowy i przełomowy nastrój psychiczny młodzieży, jest jednym z najdramatyczniejszych przeżyć, którego wspomnienie (jak wogóle wspomnienia szkolne), ściga przez całe życie, staje się nerwowym urazem.

Czyby więc, mając na oku ogromne przemiany w sferze nauczania, obliczone na dość długą jeszcze przyszłość, nie zwrócić czulszej uwagi na stan, który trwa, który jest, a który w wysokim stopniu szkodzi idealom pedagogii i chyba musi mieć sumienie najbardziej oderwanych teoretyków. Wiele już uczyniono dla dobra szkoły. Czyby jednak nie można było bardziej zmniejszyć dystansu między aktualnym a przyszłym życiem szkoły — w trosce o dobro nietylko tej młodzieży, która będzie, ale i tej która jest, a która najnieprawdopodobniej pozbawiona jest dobrodziejstw nowego systemu?

Naprawdę, jeżeli uczeń dopuszczony został do matury to, logicznie biorąc, uznany został za ogólnie przygotowanego do nowych, dojrzałych zadań życiowych i naukowych. Jeżeli więc „ścina się”, to wina spada na system; znaczy to, że mimo wszelkie abstrakcyjne racje jest w tym systemie coś niezdrowego. Tych kilka ofiar rocznych, które okupują obowiązek poddawania się egzaminom maturalnym, wystarczą dla zrewidowania tego zarządzenia.

Wiemy, temat jest oklepany, nie przestaje być jednak aktualny i palący.

Jednocześnie musimy stwierdzić, że uwagi prof. Zielińskiego, pomieszczone w tej sprawie w „Gazecie Polskiej” z dn. 23 czerwca, nie wydają się nam słuszne. Sz. Profesor projekty zniesienia matury nazywa „pedo-demagogią”, najwidoczniej przypisując maturze wartość nazbyt sprawiedliwego sprawdzianu umiejętności ucznia. Według nas jest inaczej. Matura bynajmniej nie jest świadectwem poziomu młodzieży. Świadectwem jest poziom nauki w szkole. Jeżeli szkoła promuje ucznia z klasy do klasy i dopuszcza do matury, to bierze na siebie główną odpowiedzialność za los abiturjenta. W gruncie rzeczy bowiem egzamin maturalny jest raczej egzaminem dla „nauczyciela i jego pracy — kosztem ucznia i jego nerwów.

W szkole trzeba żądać więcej, jednak nie należy stawiać tej wieloletniej szkolnej pracy na jedną kartę, nie uzależniać wiedzy i dojrzałości abiturjenta od jednej chwili nerwowego napięcia, które dla jednych może być pozytywne — dla większości jednak rozstrajające i zgubne. N.

„W NIEWOLI DZUNGLI”

(„Pan”)

Cecil de Mille był ongiś wielką sławą reżyserską, a chociaż w ostatnich czasach blask jej nieco przygasł, filmy twórcy monumentalnych przebojów pozostają nadal obrazami „firmowymi”. Mille specjalizował się w filmach historycznych, o charakterze wystawowym, dekoracyjnym, a historie psychologiczne i obyczajowe nakręcał i nakręcał jedynie na marginesie swej reprezentacyjnej twórczości. Takim właśnie marginesowym filmem jest obraz „W niewoli dzungli”, którego akcja rozgrywa się na półwyspie malajskim, a udział biorą właściwie tylko cztery osoby. Strona dekoracyjna jest świadomie zupełnie odsunięta na plan dalszy, a ciężar cały spoczywa na psychologicznej podszewce scenariusza, na odpowiednim wygrananiu przeżyć czwórki zabłąkanych w dzikiej krainie.

Film nie odznacza się specjalną głębią, ale zrobiony jest nietylko poprawnie, ale i inteligentnie. Można oczywiście było nakreślić typy ludzkie w sposób bardziej wyrazisty, a nie poprzestawać na szkicowaniu sylwetek, ale z drugiej strony zbytne wgłębianie się w analizę psychologiczną odbiło by się niewątpliwie niekorzystnie na konstrukcji filmu, rozsądziłoby skromną fabułę, a z zabawnej opowieści zrobiłby się jakiś tragiczny dramat. Sytuacja zabłąkanych w dzungli przedstawicieli zachodniej cywilizacji jest napewno niewesoła, ale podróżnicy nie tracą humoru, a reżyser potrafi z ponurej historii wykręcić pokaźną ilość zabawnych epizodów. Bohaterzy filmu nie są banalnymi manekinami, znanymi dobrze z egzotycznych dramatów made in U. S. A., ale żywymi ludźmi, niepozbawionymi wad i śmieszności. Może przeobrażenie charakterów w dzungli następuje w sposób zbyt gwałtowny i mało przekonujący, a momenty liryczne nie robią wrażenia, ale całość jest interesująca i przemawiająca do przekonania.

Duża to oczywiście zasługa Mille'a (umiejętności wygranania dialogów i aktorów), ale i pokaźną część zalet filmu mogą przypisać na swój rachunek wykonawcy ról głównych, a zwłaszcza dwie kobiety — Mary Boland, znakomita kokieterka „boyownicza”, przeprowadzająca propagandę swych ideałów wśród dzikich szczepów Malakki, i skromna, zahukana nauczycielka — Claudette Colbert, przeciwstawiająca się bohaterkę i wodza wyprawy. Pewny siebie reporter

i hipochondryk-chemik (Herber Marschall) nie wkładają w swe role nic ponad przyzwoitą poprawność. Dobry jest jeszcze Leo Carillo w roli krajowca, który we własnym mniemaniu jest najbielszym z białych Anglików.

Fotografował film Karl Struss, sława operatora Ameryki, nie też dziwnego, że zdjęcia są piękne, a chociaż tematy dzwonek doszczętnie obrzydły publiczności, film ma dzięki właściwemu kolorystowi — charakter. Dobra oprawa dźwiękowa (w granie np. śmiechu małpy) uzupełnia listę zalet filmu.

„POZWÓL SIĘ KOCHAĆ” („Casino”)

Modne są teraz filmy odsłaniające kulisy wielkich wytwórni filmowych, wszystkie jednak z wyświetlanych w Warszawie stoją na poziomie „Wybuchowej blondynki”. W „Adrii” i w „Majesticu” idą słabe kino-rewje, a w „Casino” popisuje się reżyser David Burton obrazem pretensjonalnie naukowym „Pozwól się kochać”. Film zresztą ma nietylko pretensjonalny tytuł, ale i treść. Jest to jeszcze jedna historia skromnej i miłej pani, która chce zostać gwiazdą ekranów, co prawda nie z własnej inicjatywy, a wskutek gorących namów reżysera. Oczywiście kandydatka na gwiazdę kocha reżysera i tylko dlatego decyduje się na karierę filmową. A potem intrygi, kawały reklamowe i zazdrosne kobiety doprowadzają do dramatu, zakończonemu zresztą happy-endem.

Scenariusz oparty jest na dość nieprawdopodobnym pomysle robienia na gwałt z jakiejś pół-Francuski, pół-Amerykanki — autentycznej Szwedki, ponieważ reżyser nie może się skompromitować i przekreślić swoich wymagań, narzuconych uprzednio dyrektorowi wytwórni. Inna sprawa, że ta nauka szwedzkiego jest najlepszą częścią filmu, tak samo zresztą, jak przypominające film Fleminga obrazy, ilustrujące kampanję reklamową nowej gwiazdy. Pozatem — standart niskiego gatunku.

W roli fałszywej Szwedki popisuje się nowa gwiazda amerykańska Anna Sothorn, mająca dużo wdzięku i trochę aktorskich zdolności. Jej partnerem jest niepoprawnie drewniany i antypatyczny Edmund Lowe. W krótkim epizodzie lansowana ongiś, jako groźna konkurentka Greta Garbo, a dziś szybko znikająca z horyzontu — Tala Birell. Pod względem formalnym — film słaby.

b.

KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

POWIEŚĆ, NOWELA.

- Kazimierz Alberti — Ci którzy przyjdą. Powieści mieszczkańskie. Warszawa 1934. Dom Książki Pol.
- Józef Aricha — Chleb i objawienie. Wydawnictwo Nowoczesne. 1934.
- Colette — Kotka. Powieść. Wydawnictwo Nowoczesne. 1934.
- Idalja Badowska — Poeta i mniszka. Powieść. Rój. 1934.
- Henryk Drzewiecki — Kwaśniacy. Rój. 1934.
- Czesław Halicz — Ludzie którzy jeszcze żyją. Rój. 1934.
- Tadeusz Lopalewski — Prowincjusze. Powieść. Rój. 1934.
- Wanda Melcer — Kochanek zamordowanych dziewcząt. Rój. 1934.
- Józef Roth — Marsz Radetzky'ego. Tomy I i II-gi. Rój. 1934.
- Stefan Zweig — Strach. Nowele. Rój. 1934.
- Jerzy Kossowski — Rodzina Smuszków. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa.
- Tadeusz Dolega-Mostowicz — Świat pani Malinowskiej. Nakładem Księgarni Czesława Kozłowskiego.
- Roman Wolski — Droga do wolnej ojczyzny. Powieść z dziejów wychodźstwa polskiego w Rosji (1914 — 1918). Dom Książki Polskiej.

POEZJA

- Stanisław Helsztyński — Pieśń nad pieśniami. Przekład biblijny. Poznań. MCMXXXIV.
- Leopold Lewin — Sen zimowy. Warszawa, 1934. Nakładem Księgarni F. Hoessicka.
- Walt Whitman — 75 poematów. Przekład Stefan Napierski. Warszawa, MCMXXXIV. Kraków. Wydawnictwo J. Mortkowicza.
- Wacław Hordysz — Dusza odchodząca. Poezje. Warszawa, 1934. Skład: Biblioteka Polska.

ANTROPOLOGJA

- Stanisław Studencki — O typie psychofizycznym Polaka. Poznań, 1931.

PERJODYKI

- Balticoslavica. Biuletyn Instytutu naukowo-badawczego Europy Wschodniej w Wilnie. Redaguje Erwin Koschmieder. Wilno, 1933.

ZYCIORYSY.

- A. Auffray — Św. Jan Bosko. 1815—1888. Autoryzowany przekład z francuskiego Anny Zahorskiej. Nakładem Ks. Salezjanów. Poznań 1934.

PSYCHJATRJA

- Ernest Kretschmer — Ludzie genialni. Przełożył P. Hulka-Laskowski. Dzwon. Warszawa. 1934.

POLITYKA, SPRAWY SPOŁECZNE

- Adam Skwarczyński — Wskazania. Nakładem Straży Przedniej. Warszawa, 1934.
- Ludwik Widerszal — Sprawy Kaukaskie w polityce europejskiej w latach 1931—1864. Nakładem Tow. Naukowego w Warszawie i Instytutu Wschodniego.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia

dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc. w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarzom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE DLA KSIĘGARZY P. T.

„KURJER KSIĘGARSKI”.

Następny numer „PIONU” poświęcony setnej rocznicy PANA TADEUSZA zawierać będzie m. in. przemówienie Józefa Bediera członka Akademii Francuskiej i dyrektora Collège de France, wygłoszone na uroczystym posiedzeniu w Collège de France

oraz artykuły:

Marji Czapskiej — „Mickiewicz w okresie pisania Pana Tadeusza”, Leonarda Podhorskiego-Okolowa — „Geneza pomysłu: ks. Robak-emisarjuszem”, Zofji Mianowskiej „Pan Tadeusz w roku 1934”, Jana Miernowskiego „Największy poeta — poetą nieznanym” i in.

Redakcja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19.

Administracja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie.

Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto. P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor: Tadeusz Świącicki

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Julian Zielski

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10